Cena 60 groszy

CONRAD A EUROPA

Dziś 6 stron

WIADOMOŚCI LITERACKIE

TYGODNIK

Nr. 5 (57) Warszawa, Niedziela 1 lutego 1925 r. Rok II

Wywiad na księżycu

Karola Irzykowskiego z samym sobą

Przyszła kolej nareszcie i na mnie. Wykręcałem się od tego kilka miesięcy, ale w „Wiadomościach Literackich" ten dział jest rodzajem piknika, w którym honor zawodowy nakazuje uczestniczyć i wystawiać się na pośmiewisko ludzkie. A więc niech będzie wywiad, nb. otwarcie z samym sobą. W tym celu wyłoniłem z siebie sposobem ideoplastycznym odpowiednie indywiduum, ale żeby nie było tylko taką tubą, jakiemi posługują się w swoich wywiadach ministrowie, nauczyłem go paru małpich sztuczek.

— Małpich sztuczek? Co to za impertynencja? Jest pan człowiekiem niesłychanie złośliwym — zaczęło indywiduum, t. zn. ja sam jako swój wywiadowca.

— Niech pan doda: najzłośliwszym w Polsce. Przerost intelektu; oschłość uczuć; wysoka dialektyka; brak fantazji; sumienność; nawet rodzonemu bratuby nie przepuścił... I tym podobne bzdury; znam na pamięć tę legendę o sobie.

— Wszyscy się już na to zgodzili, i niema odwołania. A Grzymała - Siedlecki dodaje jeszcze, że pan jest największy przekornik...

— Bo Siedlecki nie chce sobie wyobrazić, że ja mógłbym mieć własne źródło przekonań; woli sądzić, że jestem odwrotnym kurkiem na kościele. Inaczej byłoby zanadto przykro p. Siedleckiemu.

— Już pan znowu na kogoś... Ale przecież znane jest pańskie zamiłowanie do parodoksów.

— Nigdy w życiu nie powiedziałem czegoś, cobym sam uważał za paradoks, — chyba dla ozdoby stylu. I w osławionym sporze o niezrozumiałość okazało się dowodnie, że ja jestem po stronie filisterskiego common sense, a właśnie publiczność — po stronie paradoksu.

— Ależ panie!! Zacytowano panu nieboszczyków. Pani Wielopolska pana zdemaskowała! Fachowo panu wykazali Hulewicz i Miller... Niezrozumiałość jest...

— Świętością narodową?

— Jest koniecznością!!

— Szkoda, że pan jeszcze nie dodaje: „tragiczną". Mówi pan akuratnie jak ten młodzieniec, którego list do redakcji p. t. „Konieczność niezrozumiałości" wręczył mi redaktor „Wiadomości" już po zakończeniu kampanji. W ten sposób, proszę pana, bywam w każdej polemice pouczany; moi szanowni przeciwnicy robią odkrycia za pomocą materjału, którego ja sam im dostarczyłem. Jestem nauczycielem, na którym docendo discit, kto zechce.

— Bądź co bądź ta polemika o niezrozumialstwo była użyteczna. Pan wogóle jesteś użytecznym bawołem. Ma pan zasługi...

— „Zasłużony krytyk" — tak pisze niejeden futurysta, a chce powiedzieć: stary idjota. Albo pisze: „sumienny krytyk", a myśli sobie: pedant, żółw, bez intuicji, nie zna się na poezji...

— Sumienności to już zaczynają panu odmawiać!

— Chwała Bogu!

— No, ale zawsze robi pan jakiś ruch! Jakoś wesoło wygląda ta literatura z panem, choć pan dostaje cięgi — a może właśnie dlatego... I tę ofiarność pańską uznał teraz plebiscyt „Wiadomości"...

— Plaster na cięgi...

— Wyraża się pan zawsze tak drastycznie... To już Hulewicz panu wytknął...

— Coby był Hulewicz powiedział, na takie zdanie: „Literatura oparta na niezrozumiałości jest tak samo niemożliwa, jak państwo złodziei".

— Hehehe! To się panu udało! Ale to sofizmat! Wiadomo, że przecie państwa złodziei są sławne w historji... W nich siła... he he he! Pan jest sofista! I pan jest stary, zaśniedziały racjonalista! Nie zna pan iracjonalności życia! Iracjonalności w poezji! Tego będzie się pan musiał douczyć, jeżeli pan zechce nadal być użyteczny. — Ale co to się z panem stało, kochany panie Irzykowski? Kiedy ostatni raz pana widziałem, świecił pan łysiną, a teraz ma pan wcale niezgorszą czuprynę.

— Widzi pan, to są „owoce" mojej sławnej umiejętności łupania włoska na czworo. Zastosowałem ją do własnej głowy. Patent zastrzegam. — Ale teraz zapraszam pana na swój aeroplan, pojedzie pan oglądać moje dobra na księżycu, który ot właśnie w tej chwili wyłazi.

— — — — — — — — — —

Podczas jazdy rozmawiałem z Irzykowskim bardzo delikatnie i oszczędzając jego miłość własną. Najprzód wciąż gadał o swoich polemikach. Poznałem, że każdą musi odchorować. Wszystko mu wtedy czernieje jakoś naokoło. To człowiek atramentu. Uważa zawsze, że obronił się tylko formalnie, ale właściwie poniósł klęskę. Po każdej chce rzucić pióro. Jedyną jego marną pociechą jest, że „oni" są tacy „głupi", „aroganccy" i „gruboskórni", że ukarani są już tem, że są tacy, jacy są.. Biedaczysko!

Ponieważ zależy mi na tem, żeby ten tęgi bawół nie bódł, lecz orał, czyli żeby z niego zrobić dobrego wołu, postanowiłem dać mu dobre rady.

— Widzi pan, weź pan sobie za wzór np. dr. Szyjkowskiego czy też p. Baczyńskiego. Obchodzi sie z młodymi jak ojciec, popiera ich, zachęca. Przyhołubi, popieści, wsadzi smoczek w buzię. Nie bądź takim krótkowidzem. Rażą pana ich różne pozy, czasem ich blaga, — ale przecież to tylko powierzchnia, pod tem płynie prąd, życie, przyszłość. Pan tego nie widzi. Spróbuj pan raz być pozytywny. Pisz pan krytyki syntetyczne. Pan jest tylko zimnym analitykiem...

— Pan jesteś idjotą... choć mojego wyrobu, ale na wzór autentycznych.

— To panu nic nie pomoże. W swoim t. zw. wywiadzie posługuje się pan teraz wyliczaniem zarzutów swoich przeciwników i myślisz, że tą bezsilną ironją załatwisz sprawę. Widać, jak się pan miota. Ja panu szczerze i serdecznie radzę... Bo trzeba panu wiedzieć, to powiem panu w sekrecie: zaczynają pana nienawidzieć. Co gorsza: lekceważyć.

— Tak jest — odpowiedział Irzykowski, potrząsając ogonem swego aeroplanu. — Co parę dni przysyłają mi jakiś tomik poezji z dedykacją brzmiącą zwykle mniej więcej tak: „Panu... w uznaniu jego zasług". Czy pan myśli, że ja się z tego cieszę? Ludzie, których nic ze mną nie łączy, którzy o mnie nic nie wiedzą prócz tego, że jestem „surowy" krytyk, powierzają mi swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty. Zaopatrzyli mnie w lekturę na parę lat. A tej roboty wcale mi nawet nie ułatwiają, wymyślili właśnie dla mojej udręki teorję niezrozumialstwa i stosują ją w praktyce na mojej głowie. Jak gdyby niedość było na świecie już głupstw zrozumiałych. My twórcy a ty krytyk, zróbże nam jaki wytyk. To znaczy: jesteś lokaj, który ma klucze od sławy; otwieraj, ale sam się nie pchaj, stój w przedpokoju i czekaj na następnego, albo otwieraj drzwi na podwórze i pytaj: czy jest tam jaki genjusz? Lecz się zawiedli. Nie robię krytyk o autorach, interesują mnie raczej kwestje ogólne, estetyczne i literackie. Więc za to mnie nie kochają...

— A jednak pisuje pan także niezłe recenzje, takie sobie zwykłe recenzje.

— Z grzeczności, ze słabości, ostatecznie dla zarobku. Moralną rekompensatę za to mam tylko wtedy, gdy mi się uda na podorędziu stworzyć nowe narzędzie krytvczne, sformułować coś szczęśliwie. Nie nauczyłem się uczciwie zarabiać na chleb, prócz chyba stenografji. Ale ze stenografją, mój panie, jest osobna sprawa.

— No, jaka? — zapytałem zaciekawiony, a właśnie krążyliśmy już nad księżycem, szukając stacji. — Wiadomo, że jest pan z zawodu stenografem wysokiego sejmu Rzplitej.

— Tak panie. A stenograf jest, proszę pana, kanałem. (Trzymaj się pan mocno, bo wnet ładujemy). Takim kanałem jest i krytyk. Mówca mówi, a stenograf przepuszcza to przez kanał swojego mózgu do ręki. Mówca może w ten kanał nagadać co mu się spodoba. Byłem też, proszę pana, przeszło 25 lat dziennikarzem i reporterem. Zaczynałem od zbierania nieboszczyków na klepsydrach. „Robiłem" wiece, izbę sądową, wywiady, odczyty, posiedzenia wszelkich „ciał", kronikę, nawet artykuły polityczne i ekonomiczne. Byłem...

— Ależ ja nie piszę pańskiej biografji.

— O nie, teraz słuchaj, bo cię strącę na dół. Otóż byłem także stenografem agencji telegraficznej, i przez mój mózg przepuszczano w ciągu wielu lat wszelkie śmiecie polityczne, które nazajutrz miały zabawiać publiczność w gazetach. A teraz powiedz pan, — wrzasnął Irzykowski, — czy jestem kanałem czy nie?

— Ależ tak, tak, tysiąc razy tak! — odrzekłem w przerażeniu, bo już chwycił mnie za ramię, aby mnie strącić w błyszczącą czeluść księżyca.

Przybyliśmy wreszcie na miejsce. Tu były posiadłości Irzykowskiego. Oczywiście, jak się spodziewałem, zimno okrop-

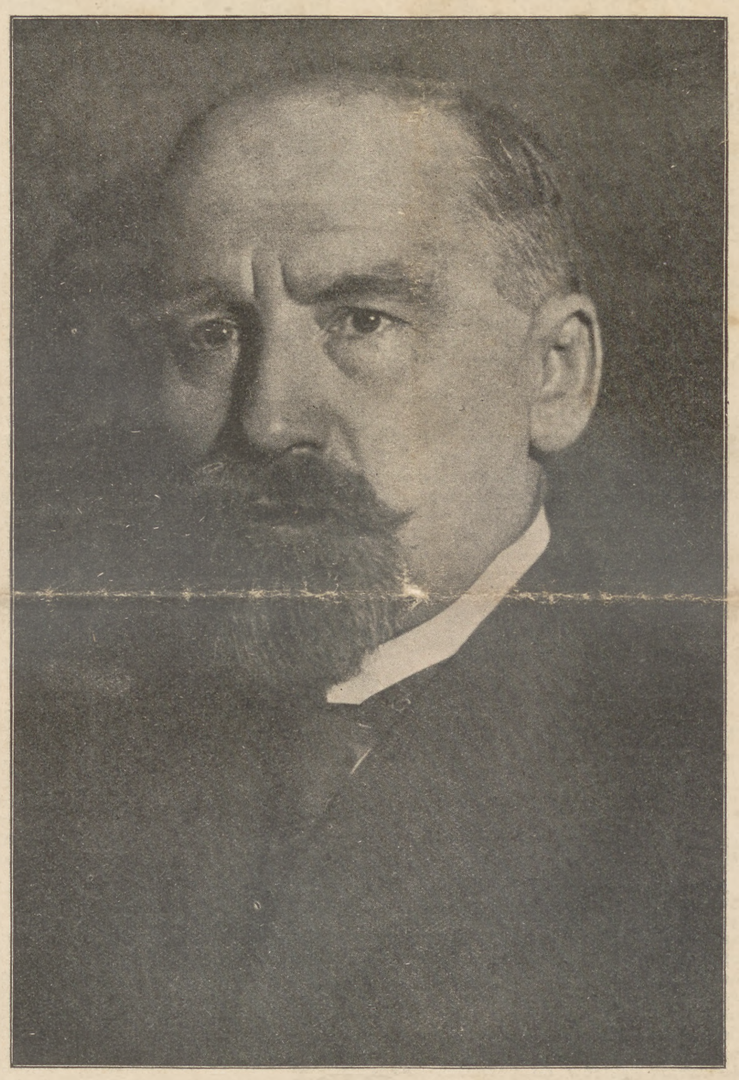

KAROL IRZYKOWSKI
wykonał dla „Wiadomości Literackich" zakład fotograficzny Karola Pęcherskiego

ne. Cóż dziwnego, przecież to było zimno jego analizy, jego intelektu. 84 stopnie niżej zera. Lodownia. Więc to stąd czerpie on swoje zapasy! Aha!

— Tak, jestem tam na ziemi kanałem, — krzyknął jeszcze Irzykowski, trzęsąc mnie gwałtownie za ramiona, — ale kanałem ze złota! rozumie pan? Ze złota!

— Ale złota panu za to nie dali! — wysądałem się mimowoli, czyniąc aluzję do decyzji 6 sędziów w konkursie księgarskim na krytykę.

Irzykowski zgrzytnął zębami, a w tej chwili zawyło coś na księżycu.

— Pokażę panu moje konie i psy księżycowe; zobaczy pan, że nawet pani Wielopolska w swych dobrach nie ma lepszego inwentarza.

Poszliśmy do psiarni i do stajni — zdawało mi się, że połowa psów była wściekła. Przysiąc na to nie mogę, bo złośliwy mój gospodarz wszystkim swoim psom poucinał ogony — najwidoczniej poto, aby tak zamącić kryterja psiej wścieklizny, jak zagmatwał i popsuł kryterja natchnienia poetyckiego na ziemi.

— — — — — — — — — —

Napadliśmy na człowieka w księżycu: ja podstawiłem mu nogę, Irzykowski brzytwą swojej krytyki poderznął mu gardło. Odebrana mu wiązka chrustu przydała się do rozpalenia ognia, przy którym spożywaliśmy przywiezione z ziemi zapasy. Otulaliśmy się jednem futrem, jako że jesteśmy jedną osobą i jako że na srebrnej tarczy księżyca było nam dość ciasno (znana ciasnota poglądu Irzykowskiego na świat).

Mówiliśmy z sobą coraz intymniej.

— Ale ten wyrok konkursu poszedł panu porządnie po nosie!

— I po kieszeni; zrobili mi szkodę na 2000 złotych! — zaskowyczał Irzykowski.

— Udawaj pan przynajmniej, że pana to nic nie obchodzi, i nie oburzaj się pan za to, że raz przecież dano panu porządną nauczkę, z której oby pan skorzystał. Trzeba być pozytywnym, zachęcać, chwalić.

— A więc w tem zgadza się pan ze mną, że ten wyrok był demonstracją przeciw mnie?

— Był wyrokiem i karą!

— Wyrok — wyrok był nieformalny! Nawet choćby tylko pod względem ilościowym mam większy dorobek w ostatnich latach, niż nagrodzeni, i tylko ja w ostatnim roku wydałem dużą książkę.

— Ale o kinie! Niech pana kiniarze nagradzają!

— Widocznie nikt z światłego komitetu tej książki nie czytał. Bo chociaż ona jest o kinie, ale właśnie jest o literaturze, o poezji w stosunku do kina, jest teoretyczną pieśnią na cześć poezji, zaśpiewaną w czasach, gdy wszystko opętane jest szałem kinetyzacji teatru, poezji, duszy ludzkiej. Ja mówię, że kino należy się literatom, że oni tylko mogą je podnieść — a czy którykolwiek z nich w Polsce był mi za to wdzięczny? Czy przyszła do mnie deputacja? A przecież to jest jedyna książka krytyczna na miarę europejska, jaką w Polsce w ostatnich latach wydano, powinna być przetłumaczona na wszystkie języki, włącznie z esperantem...

— Tak jest, pańskie odkrycia dorównywają odkryciom prof. Ossendowskiego!

— Jedynymi moimi współkonkurentami mogli być w tym roku Witkiewicz i Kołaczkowski, ale tych nawet na liście nie umieszczono. Światły komitet zblamował się! — szalał dalej mój księżycowy kwerulant — komitet uległ idjotycznej legendzie o mnie! A ja przecież uznałem — jeden z pierwszych — Kaweckiego, Jaworskiego, Grabińskiego; stawałem w obronie sztuk „zapoznanych" (Rostworowskiego, Kaweckiego, Wojcickiej); poznałem się pierwszy na wartości „Zawodów" Kadena-Bandrowskiego i napisałem o nich aż rozprawę, wtedy kiedy Ortwin jako doradca literacki pewnej księgarni lwowskiej odrzucił jako słaby, błahy ten utwór, który stał się później punktem wyjścia dla całej szkoły — oczywiście nie zanotowanej przez oficjalnych krytyków — i bywa do dziś naśladowany. W sądzie konkursu „Lektora" wraz z Zygmuntem Kisielewskim daliśmy wzór, zdaje mi się, czem ma być taki sąd; czytaliśmy wszystko, szukaliśmy nawet drobnych ziarnek talentu. Brzozowski, gdy mu opowiadałem o subtelności poety Przysieckiego, wówczas jeszcze zupełnie nieznanego, gniewał się na mnie, że tak się roztkliwiam nad poetami drobnorolnymi, a lekceważę tych poetów obszarników, których nazwiskami on szastał w swoich pismach i wykładach. Ale bo też ja trzymałem się zawsze zasady wyrażonej przez Kleista w epigramie „Do podziwiacza Szekspirów":

„Narr, du prahlst, ich befried'ge dich nicht! Am Mindervollkommnen
Sich erfreuen, zeigt Geist, nicht am Vortrefflichen, an!"

(„Głupcze, chwalisz się, że moja twórczość cię nie zadowala! Ale przecież cechą bystrego umysłu jest, że potrafi rozkoszować się także rzeczą mniej doskonałą, a nie wyborną!").

— Ale w ostatnich latach nie dawał już pan dowodów takiej wnikliwości miłosnej.

— Nie byłem nigdy i nigdzie recenzentem stale zaangażowanym. Mnie tylko zapraszano, abym „ozdabiał łany", ale przecież głównymi recenzentami, na miejscach kierowniczych, byli inni, którzy brali grube stałe pensje, których psim obowiązkiem było utrzymywać w ciągłej ewidencji i rzekę i prądy i nurty, lecz oni — pisali tylko recenzje teatralne! Oni są odpowiedzialni za dzisiejszy stan uświadomienia literackiego, ja umywam ręce! Ja nie będę dalej wymiatał pajęczyn...

— Ależ na Boga, co pan knuje?

— Nie chcę już dalej „załatwiać interesów literatury polskiej", jak to nazywał Womela. Wycofuję się z krytyki.

— Dąsa się pan? Trzeba to było powiedzieć zawczasu jurorom, możebyś pan był ich steroryzował...

— Korzystam z pożądanej oddawna sposobności, aby się wycofać z honorem...

— To znaczy z trzaśnięciem drzwiami... Ale zapewniam pana, nikt nie będzie płakał...

— Czegóż mam płakać, za kim i po kim, kiedy nikt po mnie nie płacze — zadeklamował Irzykowski. — Dość mam tych afrontów ze strony mikrusów, tych eskamoteryj ze strony starszych. Dość tych polemik, w których swoich przeciwników muszę wpierw uczyć zasad fechtunku. Co już było na warsztacie, to oczywiście zostanie załatwione. Gdy się wysiada z jadącego tramwaju, trzeba jeszcze jakiś czas biec za nim. Zresztą muszę zarabiać i kompletować książki...

— „Walkę o treść"?

— Ta książka, choć nie zupełnie napisana, przez sam swój tytuł, który na kilka lat zawiesiłem nad literaturą, albo odegrała swoją rolę albo nie odegrała, to znaczy, że ja przegrałem. Ale gotowa od dwóch lat jest inna książka: „Studja i mosty", której „Ignis" wtedy wydać nie chciał. Muszę do niej jeszcze tylko dopisać rzecz o istocie przełomu kulturalnego, — to jest także moje odkrycie.

— Pan ma tę manję... Więc będzie pan remontował i montował swój światopogląd?

— Nie. Bawienie się w światopoglądy i ciągłe ich przezwyciężanie, to rzecz Brzozowskiego, nie moja. „Kwestja stoi tak a nie tak", „w tej płaszczyźnie"... zbrzydło mi to. Ja buduję mosty, te, które obiecałem w „Pałubie". Jestem inżynierem. Ja jeden znam naprawdę sens maszyny, nie futuryści. Ja jestem prawdziwym pionierem — nie, tylko prekursorem. W „Pałubie" byłem pierwszym formistą, w „Dobrodzieju złodziei" pierwszym futurystą, w „Zwycięstwie" antycypowałem już dramaty à la Witkiewicz. Sam muszę się chwalić, bo inaczej na wieki nikt mnie nie pochwali.

Tu zauważyłem, że Irzykowski stał się powoli dwa razy większy, tak siebie rozciągał, jakby był z kauczuku.

— Megalomanja bucha z pana. I zawiść.

— Naturalnie, bo ja pracowałem w warunkach sto razy gorszych, zewnętrznych i wewnętrznych. Ale co do megalomanji, to jeżeli dotąd nie kontynuowałem swojej drogi, to z czystej skromności. Teraz, gdy nie mogę od drugich doczekać się dzieł, jakby powinne być napisane, niech oni krytykują, ja będę tworzył.

— Co słyszę? Pan? Ale przecież wiadomo, że pan do tego talentu nie ma! Udowodnili to panu Brzozowski, Feldman, Grubiński, Zagórski i wielu innych.

— Gdybym ja sobie samemu to udowodnić zdołał, byłbym bardzo szczęśliwy. Ale miewam pewne wizje rzeczy, które muszą być ucieleśnione, gorzej lub lepiej. Wolę być fuszerem w niesłychanych gatunkach, niż mistrzem w oklepanych..

— Skończy się na tem, że będzie pan fuszerem w oklepanych. To tylko na księżycu czuje się pan tak pewny siebie. Ale niech będzie, — mów pan teraz, jakie to będą te przyszłe arcydzieła. Proszę o tytuły i t. d. Redaktor „Wiadomości" polecił mi dobrać się do pańskich wnętrzności...

Tu wyjąłem notes i ołówek, aby nareszcie po tylu niepotrzebnych gadaniach, które nudzą szanownych czytelników, spełnić swój niemiły obowiązek reporterski.

— A, do moich wnętrzności chce się pan dobrać? — rzekł Irzykowski satanicznie.

— Tak, że tak powiem po galicyjsku: do pańskich nerek. Jakkolwiek zgóry wiem, — dodałem dowcipnie,—że to będą płody czysto mózgowe, intelektualne...

— Tym razem mylicie się, moi znawcy! — mówił Irzykowski diabolicznie i nadął się do trzykrotnych swoich rozmiarów.—Służę panu, oto jest ostatnia analiza mojego moczu!

Podał mi urzędowy dokument na formularzu, z pieczątką. Myślałem, że to jeden ze zwykłych jego niesmacznych żartów, ale niesmak zmienił się we współczucie, gdy wyczytałem: „szczawian wapna obfity".

— Tak, widzi pan, oxaluria. Prawidłowa. Wapno. Moi wrogowie chcą mnie zamurować...

Nagle wychyliła się ziemia z za chmur. Irzykowski przystąpił do teleskopu, obracał nim i wypatrywał czegoś długo, nareszcie mruknął:

— Są!

— Kto „są"?

— Oni! Teraz musi się to stać!

Napady manji prześladowczej — powiedziałem sobie po cichu, litując się znowu nad swoim gospodarzem, który, odstąpiwszy od teleskopu, rzekł:

— Zgadzam się z panią Wielopolską, i to jest także moja teorja, że świat dąży do mineralizacji. Każda cząstka próbuje tędy i owędy, buja, hula, następują coraz większe wyrównania, zobojętnienie, skamienienie. I ja powoli kamienieję, jak ten człowiek z „Dziadów" co pocałował zwierciadło. Zaczynam od nerek. Z tego tajemniczego dyplomu, który mnie już pasuje na istotę wyższego rzędu, dowiaduje się pan, że wytwarzam w sobie wartości nie tylko duchowe, ale wprost konkretne. I moją ambicją jest ni mniej ni więcej, jak wytworzyć w sobie djament. Patrz pan, czy nie błyszczy już we mnie?

I tu nieszczęśnik odsłonił sobie to, czego, niestety, żadną miarą nie mogę nazwać sercem.

— Świetna twórczość zapowiada się we mnie, i zaraz, zaraz na próbkę obdarzę ziemię takim klejnotem!

Przyskoczył znowu do teleskopu, krzyknął: „Już są!", potem pobiegł na krawędź tarczy księżyca, i wtedy—jak powiada Sienkiewicz — stała się rzecz straszna...

Ujrzałem go nad krawędzią skurczonego w pozycji kangura; wpatrywał się we mnie melancholijnie.

— Co pan robi?! — krzyknąłem.

A właśnie ziemia przepływała pod nami...

— Strącam z siebie djament na prezent dla...

— Ale bój się pan Boga, tą stroną?...

— — — — — — — — — —

W powietrzu międzyplanetarnem mignęło coś błyszczącego.

— — — — — — — — — —

Zbudziłem się. A więc mi się tylko coś śniło: ktoś spadł z księżyca, ale nie wiem, ja, on, czy jakiś djament. Zostawiam to do uzupełnienia pani Wielopolskiej, która może ze mną postąpi jak z Nowaczyńskim, chociaż ja taki dowcip nazywam przywiązywaniem kokardek do cudzych ogonów.

Kultura na usługach sowietów

Sztuka w Rosji współczesnej.

Utarło się u nas w Polsce zdanie, że rewolucja rosyjska zniszczyła w tem państwie kulturę, której zresztą nie było tam za wiele, że wyrzuciła życie literacko-artystyczne poza nawias zagadnień aktualnych, że jeżeli coś w tych dziedzinach w Rosji się dzieje, to są to objawy rozpętania chorobliwych instynktów, i że na czas dłuższy można wymazać kulturę artystyczną Rosji z dorobku ogólnoludzkiego, pozostawiając w nim tylko jej przeszłość i to, co zdołało się ukryć od huraganów rewolucji poza granicami Rosji. Takie przekonanie jest błędne, z rzeczywistością niezgodne, opiera się raczej na przesłankach politycznych.

Oczywiście, chcąc się zapoznać z tem, co dzieje się obecnie w życiu kulturalnem i artystycznem Rosji, trzeba zawsze uwzględnić siłę propagandy sowieckiej, która z niesłychaną rzutkością i umiejętnością posługuje się sztuką. Po odrzuceniu jednak tego, co należy zapisać na rachunek propagandy, znajdziemy zawsze i we wszystkich dziedzinach życia kulturalnego i artystycznego ciekawy dorobek lat rewolucyjnych i po-rewolucyjnych, którego pomijać i lekceważyć nie należy.

Od pierwszych chwil ujęcia władzy w ręce ówcześni bolszewicy — dzisiejsi tak zwani komuniści — zdawali sobie sprawę z wagi i znaczenia sztuki. Stosunek ich do inteligencji bezwzględny i okrutny zmieniał się na tolerancję, a nawet protekcję, o ile dany „inteligent" był w tym lub innym związku ze sztuką. Było to jakby „honorem domu", aby popisywać się rozwojem teatru i literatury pod rządami „władzy robotniczo-włościańskiej". Wyobrazicielem tej koncepcji w liczbie pierwszych rewolucjonistów sowieckich był i jest dotychczasowy komisarz oświaty ludowej, p. Łunaczarskij.

Teatr rosyjski i sztuki plastyczne więcej, literatura — może mniej, skorzystały z tego stanowiska zajętego przez sowiety, aby wśród ogólnej ruiny i pożogi tworzyć swoje dzieło, nie krępując się tem, że obecni władcy Kremlinu wyzyskują te próby, wysiłki, prace i ich wyniki dla swoich przemijających celów socjalno-politycznych.

Dlatego właśnie zaznajomienie się z temi wysiłkami, rejestrowanie ich, a nie płytkie wyśmiewanie i płaskie szyderstwo, uważać należy za niezbędne dla każdego, kto się interesuje życiem kulturalnem ludzkości.

Na posiedzeniu centralnego komitetu wykonawczego sowietów w dn. 9 października ub. r. komisarz oświaty p. Łunaczarskij wygłosił dłuższe exposé. Dowiedzieliśmy się o niem z prasy naszej i zagranicznej tylko tyle, że „Narkompros" sowiecki z zadziwiającą szczerością wyznał, iż stan oświaty w Z.S.S.R. jest niezadowalający, gorzej nawet — opłakany. Wyzyskano, zresztą słusznie, to szczere wyznanie, jako argument przeciw polityce sowietów, przeciw ich reformom socjalnym.

Natomiast nic nie dowiedzieliśmy się o tem, co p. Łunaczarskij mówił poza biadaniami na stan oświaty. A jednak warto było przytoczyć to, co mówił on o muzeach, o „Gosizdacie", t. j. wydawnictwie państwowem, — i nawet o kinie. Bodaj, że żaden minister w żadnem państwie nie poświęcał najmniejszej części swego exposé kinematografowi.

Przytoczymy trzy ustępy, jako najbardziej dla „Wiadomości Literackich" interesujące.

Muzea.

„Chciałem powiedzieć słów parę o tem, że możemy być dumni ze stanu, w jakim znajduje się nasze mienie muzealne. Nasze muzea kolosalnie rozszerzyły się kosztem mienia cerkiewnego i pańskiego, stały się one bliższe ludności, frekwencja wzrosła w cyfrach absolutnych kolosalnie, nie mówiąc o tem, że liczba wycieczek, odwiedzających muzea, pomnożyła się kilkakrotnie. Niedawno był u nas z Anglji sir Martin Conway, poseł do izby gmin, ze specjalną misją — sprawdzenia, czy, jak to przystało rabusiom, rozgrabiliśmy wszystko doszczętu; przecież nagromadzony został ogromny majątek kolosalnej wartości, jakże mogliśmy nie ulec takiej pokusie? Kiedy sir Conway zwiedzał nasze muzea, wpadł w zachwyt, i tow. Rakowskij pisał do mnie z Londynu, że sir Conway w kuluarach parlamentu angielskiego zebrał dokoła siebie tłum posłów i mówił im o zupełnie niespodziewanym przykładnym porządku, który zastał w naszych muzeach".

„Gosizdat".

Wydawnictwo państwowe zaspakaja przedewszystkiem potrzeby w dziedzinie podręczników szkolnych. W Z.S.S.R. posiadamy 7 miljonów młodzieży, potrzebującej podręczników, potrzeba nam ich ogółem 21 miljonów. Na 1 stycznia r. ub. „Gosizdat" posiadał 6.600.000 podręczników, w tem 4 miljony starych wydań. Z tem rozpoczął kampanję; w sierpniu i wrześniu, a więc z opóźnieniem, „Gosizdat" zaczął wyrzucać na rynek ogromną ilość podręczników. W sierpniu wydrukowano 19 miljonów, we wrześniu przeszło 20 miljonów. Pomimo spóźnienia rozeszły się one szybko. Na jesieni „Gosizdat" sprzedał przeszło 10 miljonów książek szkolnych. Książka nasza ma przeciętnie 8 arkuszy, wydajemy więc książki poważne, nie broszurki. Koszt arkusza wynosił od 5 do 6 kop. Teraz produkcja nasza wynosi 64,5 miljonów książek w ciągu ostatniego roku, t. j. połowę produkcji 1912 r. Osiągnęliśmy w wydawnictwie połowę produkcji najwyższego pod tym względem roku. Ponieważ książki nasze są większe, otrzymujemy 800 miljonów odbitek w 1912 r., a około 600 miljonów na rok bieżący, t. j. trzy czwarte. Cena każdego arkusza w 1921 r. była 9,5 kop. przy 6 kop. za czasów carskich, obecnie arkusz kosztuje nas 7 kop., a cena nabywcza naszej kopiejki równa się połowie kopiejki carskiej, tak że w gruncie rzeczy dajemy książkę tańszą, i arkusz kosztuje nas tylko $3^1/_2$ kop. Obecnie „Gosizdat" wysuwa sobie zadanie organizacji rynku z pomocą wielkiego syndykatu, który ma regulować dostawę książek na rynek i organizację aparatów handlu księgarskiego aż do tych delikatnych rozgałęzień, które trafiają do wsi".

Kino.

„A teraz o kinie. Wiecie wszyscy, że Włodzimierz Iljicz wskazywał na ogromne znaczenie kina dla propagandy na wsi. Narówni z książką jest to kolosalna siła propagatorska, i teraz już z tą siłą ruszamy na wieś. Mamy dane o próbach urządzenia setek kin przez „Gławpolitproswiet" (główny komitet oświaty politycznej), które uwieńczone zostały powodzeniem. Narazie czyni to nie „Goskino" (t. j. organizacja państwowa), ale to wskazuje, jakie można osiągnąć powodzenie, jeżeli będziemy mieli odpowiednie programy dla kin. Ten wzgląd a priori zmusza nas do stwierdzenia, że kino państwowe winno być rozwinięte do maximum. A cóż widzimy? Widzimy kino w stanie godnym politowania, jego stan jest ohydny. Miljon rewizyj, miljon komisyj i wreszcie szereg uchwał. Przedewszystkiem trzeba zjednoczyć wszystkie przedsiębiorstwa kinowe Z. S. S. R. w jeden trust. Mając jeden „Wniesztorg" (komisarjat handlu zagranicznego), posiadamy pomimo to konkurencję wzajemną kin. Mamy wielkie miasta gubernjalne, w których kina są nieczynne z powodu nadmiernych podatków. Rada komisarzy cofnęła te podatki, ale komisarjat finansowy zgłosił protest, i dzięki temu utknęliśmy na miejscu. Jest to istotnie wóz, który ugrzązł. Mam nadzieję, że rada komisarzy ruszy go z miejsca".

*

Sądzę, że czytelnicy „Wiadomości Literackich" nie wezmą za złe tych dłuższych cytat z mowy p. Łunaczarskiego. Widzimy z niej, jakie problematy nurtują w życiu kulturalnem Rosji po-rewolucyjnej, jak daleko sięgają plany i zamiary, i jak pomimo braków, wad i biurokratyzmu, daleko w przyszłość zagląda myśl tych, którzy zburzyli dawny porządek w Rosji.

sg.

Spitteler

W „Nouvelles Littéraires" znajdujemy artykuł o niedawno zmarłym pisarzu szwajcarskim Spittelerze; dajemy go w obszernem streszczeniu.

Karol Spitteler urodził się w r. 1845 w Liestal, w jednym z kantonów Szwajcarji, w pastorskiej rodzinie. Wychowywał się w myśl tradycyj rodzinnych na kaznodzieję, lecz rychło inny zawód, zawód poety, powołał go w drogę samotności. Ów zew, wiodący do zerwania z tradycjami rodzinnemi, mocny głos, znany dobrze wszystkim artystom, uosobił Spitteler w postaci „surowej władczyni".

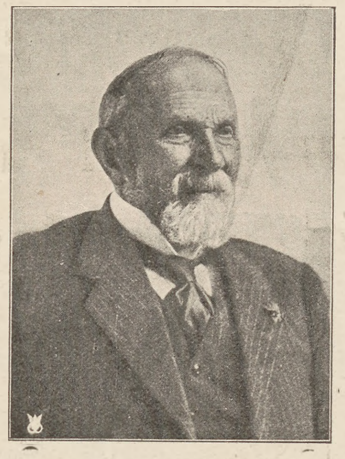

KAROL SPITTELER

W r. 1881 powstał poemat p. t. „Prometeusz i Epimeteusz", opowiadający dzieje dwóch braci, z których jeden obiera ciszę i samotność, drugi, skuszony obietnicami królestwa ziemskiego, dopiero po długiej drodze pomyłek i bólów poznaje wartość owych najcenniejszych wartości, zdobywając się na ofiarę swych ambicyj na rzecz „surowej władczyni".

Oczywiście „Prometeusz i Epimeteusz" nie przysporzył autorowi sławy, co sam Spitteler objaśniał kontrastem idealistycznych haseł, jakie wówczas głosił, i tła epoki, w której kwitły hasła realistyczne. To też następne lata życia Spittelera nie należą do najłatwiejszych. Od r. 1881 do 1889 nie pisał nic, całkowicie zajęty zarobkowaniem. Poświęcił się belferstwu i dziennikarstwu, ugiął się pod brzemieniem codziennej krytyki. Najważniejszym utworem Spittelera z owej epoki jest recenzja z „Tako rzecze Zaratustra" Nietschego w „Züricher Zeitung". Recenzja dość surowa, jak na autora „Prometeusza", którego wielokrotnie przyrównywają do dzieł Nietschego.

W r. 1889 powstają „Motyle", piękne i barwne szkice, w r. 1896 ukazują się „Ballady", pełne szerokiego oddechu. W dwa lata potem Spitteler wydaje „Porucznika Konrada"; jest to wycieczka w krainę wroga, jak sam ją nazwał autor, powieść ze skrajnym realizmem malująca prowincjonalny żywot dwóch wiosek szwajcarstkich. W przedmowie do tej doskonałej prozy namawia Spitteler autorów realistycznych do pisania utworów idealistycznych — ale zdaje się nikt go nie posłuchał.

Następne lata poświęca Spitteler pisaniu wielkiego eposu p. t. „Wiosna olimpijska", który dopiero zyskał mu wszechświatową sławę i laury nagrody Nobla. Olbrzymie to epos (przeszło 18.000 wierszy) zawiera dzieje opanowania Olimpu przez młodych bogów, wychodzących z Hadesu. Mimo iż pozornie jest to poemat mitologiczny, Spitteler zawarł w nim cały swój społeczny idealistyczny światopogląd, a symbole, które zakląt w swych bóstwach pod imionami Zeusa, Hery, Apollona i t. d., są nader przejrzyste.

W tym samym czasie Spitteler opracowywał swoją świetną i jedyną w prawdziwem tego słowa znaczeniu powieść „Imago" (1906) (jest wydana po polsku w Bibljotece Laureatów Nobla). Powieść to czysto psychologiczna i związana ściśle z nauką Freuda, na co się sam autor powołuje. Zawiera ona drobiazgową analizę historji miłości młodego Wiktora, który walczy ze swem uczuciem czysto zmysłowem w imię swej inteligencji. Walka instynktu z rozsądkiem — oto tło tragiczne, na którem Spitteler przedstawił dzieje wewnętrzne swego bohatera. Ale „surowa władczyni" czuwa nad losami bohatera i wzywa go, tak jak Epimeteusza, do wielkiej samotności, która jest udziałem prawdziwie potężnych duchów. Koło utworów Spittelera złączone jest ściśle zawsze tą samą ideologją — i bez „Imago" nie możemy pojąć młodzieńczego „Prometeusza". Rzadka wierność swej myśli i szlachetność idealistyczna Spittelera wysuneły go nie tylko na czoło swych ziomków, ale postawiły w rzędzie najwybitniejszych pisarzy europejskich.

ANIA Z AVONLEA

L. M. MONTGOMERY

Wydawnictwo B. Rudzkiego

Karton cena 6 zł.

Notatki

Dalszy ciąg zapisków Louisa.

Nr. 25 „L'Europe" publikuje dalszy ciąg zapisków Louisa, które wzbudziły taką sensację w świecie politycznym. Poza szeregiem ostrych i zjadliwych uwag o osobie Poincarégo, wygłaszanych przez wybitnych przedstawicieli świata politycznego, zapiski zawierają dwa ciekawe dialogi pomiędzy Louisem a Deschanelem. Louis twierdzi, że wprawdzie Niemcy wypowiedziały wojnę, ale winą rządu francuskiego jest, że Niemcy mogły ją wypowiedzieć. Interes Niemiec polegał na tem, aby hasło do wojny dał jakiś zatarg na Bałkanach, gdyż wciągało to nieuchronnie także Austro - Węgry: w interesie Francji leżało nie dać im skorzystać z okazji i wstrzymać, podobnie jak w r. 1909, Rosję. Deschanel zgadza się z tą opinją: „Poincaré rozpętał wojnę, ponieważ stronnicy prawa o trzyletniej służbie wojskowej sądzili, iż lepiej będzie zrobić wojnę, zanim przeciwnicy zmienią to prawo". Louis oskarża Poincarégo, że poinformował Mikołaja II, iż Francja jest przygotowana do wojny, i tem umożliwił machinacje Izwolskiego. Deschanel wtóruje Louisowi: „Poincaré wiedział, że nie jesteśmy gotowi i mimo to pojechał do Petersburga z zamiarem popchnięcia Rosjan do wojny". Zresztą Deschanel na końcu swojej rozmowy stwierdza niemniej wyraźnie, że Niemcy chciały wojny, że ją przygotowywały przez czterdzieści cztery lata, i że dlatego właśnie było szaleństwem ze strony Francji prowokować wojnę, skoro się nie było do niej przygotowanym i skoro o tem nieprzygotowaniu wiedziało się doskonale.

Papiery po hr. Walewskim.

„La Revue de France" w numerze z dn. 1 stycznia rozpoczęła druk nieznanych papierów, pozostałych po hr. Walewskim, synu Napoleona I i hr. Walewskiej. Charakterystyczne jest, że hr. Walewski — widocznie przez cześć dla nazwiska, które nosił, — nigdy nie chełpił się swem pochodzeniem. Współczesna anegdota podaje, że kiedy ktoś z najbliższego otoczenia Napoleona po poznaniu hr. Walewskiego odezwał się: „Niech mi pan wybaczy moje wzruszenie, które spowodowało niezwykłe podobieństwo głosu pana do głosu jego ojca", — młody dyplomata odpowiedział z całym spokojem: „Nie wiedziałem, że pan znał hr. Walewskiego". To też w ogłoszonych obecnie fragmentach pamiętnikarskich — o urodzeniu się swojem mówi poprostu: „Urodziłem się w Walewicach, w Polsce, 4 maja 1810". Następnie opowiada, że niezgoda pomiędzy rodzicami skłoniła matkę do opuszczenia Polski i zamieszkania w Paryżu. Dodaje, że ta niezgoda była zrozumiała, gdyż matka mając lat szesnaście zmuszona została do poślubienia człowieka sześćdziesięcioletniego. Wspomnienie o Napoleonie hr. Walewski dobrze zachował w swej pamięci: pamięta go z czasów kilkakrotnych odwiedzin wyspy Elby w r. 1814. W początkach r. 1815 ponowne spotkanie z Napoleonem, w takich skreślone słowach: „Szczegóły tej wizyty rozpływają mi się w pamięci; mam jednak jeszcze przed oczami postać cesarza; widzę jego rysy, przypominam sobie, że mnie uściskał, i zdaje mi się, że łza spłynęła po jego twarzy; ale to wszystko, — nic zresztą nie pamiętam z jego słów, nic ze szczegółów tego wieczoru". Po śmierci matki, o której hr. Walewski mówi z najwyższą miłością, brat matki, Teodor Łączyński, zabiera siostrzeńców do kraju. Ten wuj żywi także kult dla zmarłej siostry. „...ci, co znali moją matkę, — dodaje hr. Walewski, — nie dziwili się temu... Była równie dobra jak piękna... skromna, pobożna, miłosierna, obdarzona wyższym rozumem, wielkiem sercem i niepospolitą inteligencją". Łączyński również uwielbiał Napoleona: jego marzeniem było zawieźć dzieci, kiedy podrosną, na wyspę św. Heleny. Po pobycie w Kiernozi następuje wyjazd do Warszawy, potem do Genewy. Tu urywa się pamiętnik.

Francuz o... marjawitach.

Jak wiadomo, sprawy polskie znajdują się w prasie francuskiej na ostatnim planie. O Polsce, z wyjątkiem paru hojnie opłacanych pism, pisze się mniej niż o Albanji. To samo tyczy się literatury. Jeżeli znajdzie się jakieś miejsce dla rzeczy polskich — to dla najmniej ciekawych. Tak np. „Mercure de France" z 15 stycznia b. r. przynosi artykuł niejakiego p. Antoniego Martela, który p. t. „Odrodzenie mesjanizmu w Polsce" pisze o... marjawitach. Pisze mianowicie o książce biskupa Kowalskiego, wywodząc jej ducha z ducha Mickiewiczów i Towiańskich. Streszczenie dzieła Kowalskiego uzupełnia p. Martel historycznym zarysem dziejów marjawityzmu w Polsce i refleksjami na temat polskiego romantyzmu. Tu ryzykuje dość śmiałą opinję: „Romantyzm polski korzysta z dość rzadkiego przywileju: niema nikogo na brzegach Wisły, ktoby chciał go odeprzeć jako wspaniałą pomyłkę albo poprostu zaatakować". Inaczej działo się, według p. Martela, z ideą mesjanizmu: tej nikt nie ośmielał się podjąć. Przyszli dopiero marjawici, i t. d. i t. d.

Jeżeli tak myślą i piszą Martelowie we Francji, wolimy pozostać tylko przy ich koniaku...

Literatura polska w prasie francuskiej.

„Les Nouvelles Littéraires" posiadają bardzo nędznie zresztą prowadzony dział zagraniczny z rubrykami dla wszystkich krajów. W numerze z 17 stycznia w rubryce „Polska" znajdujemy, poza wzmianką o książce Lorentowicza o Reymoncie, dwie notatki tej treści: że p Kazimiera Rychterówna będzie miała swój wieczór w Paryżu, i że p. Tadeusz Witman (kto to jest?) wydał w Krakowie powieść p. t. „Son garçon", w której opisuje smutne przejścia Polaka, siłą zmuszonego do służenia w armji austrjackiej. To jest dział polski najpoczytniejszego tygodnika literackiego we Francji; ale, doprawdy, byłoby niesprawiedliwością obwiniać tu jego francuskich redaktorów: całkowita wina obarcza pewnych przedstawicieli naszej literatury w Paryżu, którzy częstokroć energję i pracowitość łączą z nieprawdopodobną ignorancją i brakiem smaku literackiego.

*

— Jerzy Lecomte, prezes francuskiego związku literatów, umieszcza w nr. 3 „La Revue Française" serdeczne choć banalne wspomnienie o Sienkiewiczu. Szkoda tylko, że p. Lecomte stale nazywa Sienkiewicza Sienkienwiczem. Mała rzecz, a duży wstyd dla członka Akademji.

— Pierwszy tom „Chłopów" Reymonta po francusku, w przekładzie prof. Francka Schoella, ukaże się na wiosnę.

— „L'Opinion" z 17 stycznia b. r. umieszcza notatkę o szopkach polskich.

— W Paryżu odbywa się obecnie wystawa płaskorzeźb wybitnego artysty polskiego, Marka Szwarca: tematy do swych pięknych dzieł czerpie on przeważnie ze Starego Testamentu.

— Mereżkowskij w wywiadzie udzielonym tygodnikowi „Journal Littéraire" skarży się, że Francuzi nie rozumieją ani Rosji ani literatury rosyjskiej. Ich zachwyt dla Tołstoja i Dostojewskiego jest w przekonaniu Mereżkowskiego tylko snobizmem. Nikt nic nie wie; nawet tych kilkunastu literatów, którzy naprawdę interesują się wielkimi pisarzami rosyjskimi, ślizga się po powierzchni. (Opinja ta jest cennem pendant do artykułu „Conrad a Europa" w bieżącym numerze „Wiadomości"). — Mereżkowskij pracuje obecnie nad powieścią z dziejów Egiptu; będzie się ona nazywała „Akhenaton, radość słońca".

— Jako komentarz do zapisków Louisa, o których pisaliśmy w nr. 53 „Wiadomości" i piszemy w numerze niniejszym, ukazała się książka Ernesta Judeta p. t. „Georges Louis".

— Władze francuskie przedsięwzięły ostrą kampanję przeciw szerzącej się we Francji zarazie literatury pornograficznej.

— W tych dniach miano sprzedać w jednej z hal licytacyjnych Paryża rzadkie wydanie „Kwiatów grzechu" Baudelaire'a, z rysunkami Daragnèsa. Z powodu tych rysunków, obrażających „moralność", egzemplarz został zaaresztowany przez policję.

— Aktualna jest sprawa przyznania Wiktorowi Margueritte z powrotem legji honorowej, która została mu odebrana za powieść „La garçonne".

— Nagrodę literacką Szwajcarji za rok ubiegły przyznano Robertowi de Traz.

— Nagrodę imienia prezydenta rzeczypospolitej otrzymali we Francji powieściopisarze Jan Gaument i Kamil Cé za powieść „Largue l'amarre" — o namiętności pisania. Autorzy ci mają oryginalny sposób współpracy: obierają sobie jakiś wspólny temat, ustalają zasadnicze linje jego rozwoju, następnie zaś każdy pisze oddzielnie powieść. Po ukończeniu oba rękopisy zostają skonfrontowane i po dokonaniu szeregu przeróbek — zlane w jedną całość.

— 10 stycznia przyznano po raz pierwszy w Paryżu „nagrodę bez nazwy". Otrzymał ją Panait Istrati za powieść „Oncle Anghel". Nagroda ta ma oryginalne założenia: przyznawana ma być raz na kwartał przez komitet dziesięciu, składający się z ludzi niepiszących, zachowujących najściślejsze incognito, przyczem nagroda nie posiada charakteru pieniężnego. Oczywiście nazwiska członków anonimowego jury stały się wkrótce wiadome prasie francuskiej: jednym z nich jest p. Henryk Poulaille, znany i czytelnikom „Wiadomości Literackich" z dwóch artykułów o literaturze francuskiej (w nr. nr. 5 i 18).

— Ukazała się nowa książka Romain Rollanda p. t. „Le jeu de l'amour et de la mort", osnuta na tle wypadków wielkiej rewolucji francuskiej.

— Nr. 1 nowo powstałego pisma „Revue Juive" zawiera m. in. listy Prousta do malarza J. E. Blanche, wspomnienia A. Spire'a o H. Francku, uwagi Lacretelle'a o własnej powieści „Silbermann" (pisał o niej w nr. 30 „Wiadomości" Wacław Grubiński), oraz Benoita o swym ostatnim utworze „Le puits du Jacob".

— Wyjątkowo interesująco przedstawia się zeszyt grudniowy doskonałego pisma niemieckiego „Die Neue Rundschau". Na jego treść składają się m. in. artykuły R. Schickelégo „Joseph Caillaux uns die französische Politik" (ciekawie napisana charakterystyka wybitnego męża stanu), E. R. Curtiusa „Spanische Perspektiven" (rzecz o teorjach filozoficzno - historycznych pisarza hiszpańskiego Ortegi), A. Döblina „Der Geist des naturalischen Zeitalters", oraz świetna nowela H. v. Boettichera „Das aussätzige Magd".

— Grudniowy „Der Neue Merkur" przynosi opowiadanie Henryka Manna „Die roten Schuhe".

— W styczniowym numerze „The Strand Magazine" Conan Doyle ogłasza nowe opowiadanie z cyklu przygód Sherlocka Holmesa p t. „The Adventure of the Three Garridebs".

— Józef Delteil ogłasza w styczniowej „Nouvelle Revue Française" przepiękny fragment p. t. „Jeanne d'Arc"; ujęcie postaci bohaterki przypomina ujęcie Shawa.

— „La Revue Mondiale" ogłasza niedrukowane listy Turgieniewa.

— „La Revue Musicale" poświęciła swój zeszyt styczniowy twórczości Lully'ego.

Liryka Tomasza Hardy

Już Homerowi przypisywała tradycja autorstwo wspaniałych hymnów, za naszych czasów Gotfryd Keller, Jerzy Meredith potrafili dowieść, iż powieściopisarz może być jednocześnie doskonałym lirykiem. Tomasz Hardy, autor szeregu powieści, wydał przeszło rok temu u Macmillana pierwszy tom zbiorowego wydania swoich dzieł poetyckich, zawierający utwory liryczne („The Poetical Works"). Większość z pośród zamieszczonych tu poezyj znana była już przedtem czytelnikom angielskim z czasopism czy też z oddzielnych zbiorów.

Poezją zajmował się Hardy z początku tylko dorywczo. Z zawodu architekt, objeżdżał stare, zaniedbane kościoły Wessex, pracował przy odnawianiu napół rozwalonych kapliczek. Stąd może pochodzi bezwzględna logika, surowa, ostra linja gotyku, która poezji jego nadaje często charakter starych drzeworytów. Przez kontakt z dziełami bezimiennych mistrzów, w samotności zrujnowanych kościołów nauczył się sztuki rozmawiania z Bogiem. Niezmordowany podróżnik, jak większość Anglików, w twórczości niechętnie wychodzi poza rodzime Wessex, jego kapliczki i porosłe trawą wyżyny. W cudownym wierszu p. t. „Wesser Heights" („Szczyty wessexskie") mówi o górach Wessex, gdzie za „najbliższego sąsiada ma niebo", podczas gdy wśród ludzi drogę zagradzają mu upiory. Samotnictwo Hardy'ego nie ma nic z pańskiego gestu, schyłkowej pogardy dla pospólstwa — poza świadomem dążeniem do skoncentrowania życia wewnętrznego wyczuwa się tu odległe echo nieznanego dramatu. Tonem zasadniczym jest jednak poczucie niewspółmierności ze współczesnem pokoleniem. Niekiedy zdaje się czytelnikowi, iż poeta przeszłość bierze za teraźniejszość, a teraźniejszość za zdumiewające opowiadanie. To co dla romantyków było wynikiem studjów archiwalnych, poszukiwaniem egzotycznie ukostjumowanej przeszłości, to dla Hardy'ego jest organiczną częścią własnego życia, „krajem lat dziecinnych". Z sympatją dla czasów gdy tańczyło się polkę i kadryla, a Butler i George Sand byli najulubieńszą lekturą, łączy on zmysł historyczny, skierowany ku przyszłości— objektywne zrozumienie tego, co jest wartością w nowej sztuce i nowych formach życia.

„Urągowisko czasu" stwarza beznadziejną atmosferę poezji Hardy'ego. Cogitavi vias meas — rozbrzmiewa w niej ludzkim, prostym tematem błędów nieodwołalnych. Hardy broni się przed jakiemkolwiek posądzeniem o próbę stworzenia określonego poglądu na świat, poszczególne utwory mają tu być tylko wyrazem nieskoordynowanych wrażeń. Istotnie coś z pasji eksperymentatora jest w zestawieniu najsprzeczniejszych koncepcyj postaci boskiej, w porównywaniu szeregu paradoksalnych możliwości. A jednak owe na pierwszy rzut oka sprzeczne ze sobą szkice systemów wynikają z głębokiego przekonania o pozornej irracjonalności w budowie świata. Czynnikiem ruchu w pozornie irracjonalnej budowie świata jest przypadek, którym nieznana wola włada wedle nieprzeniknionych dla rozumu ludzkiego praw. Wiersz „The convergence of the twain" („Zbliżanie się dwojga") opowiada, jak w dokach portowych budowano „Titanica" jednocześnie z powstawaniem góry lodowej w odległych cieniach oceanu, aż te dwie obce sobie masy stały się w pewnej przez nikogo nieprzewidzianej chwili elementami tego samego znaczenia. Straszliwa ludzka bezradność wobec zupełnej niewiedzy o świecie, wobec niemożności wyznaczenia celów istnieniu, jest dominującym tematem poezji Hardy'ego. „Satires of circumstance" w cykl piętnastu „glimpses" („wejrzeń"), jak je autor nazywa, ujmują tragedję ludzkiego obłąkania. W kilkunastowierszowych, epigramatycznych obrazkach, pisanych językiem prostym i tak codziennym jak codzienne są owe życiowe sytuacje, przesuwają się ludzie, którym w momentach najwyższego zaufania załamuje się całe dobro życia.

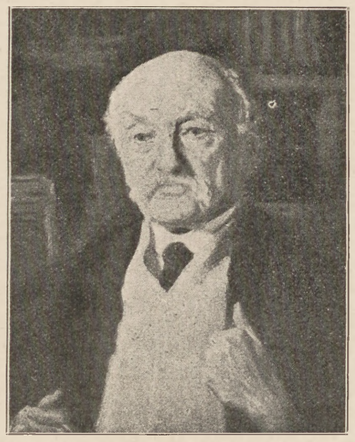

TOMASZ HARDY

W gruncie rzeczy każde z tych „glimpses" jest zgęszczonym, sprowadzonym do kilku zdań dialogu romansem; przelotna scena stwarza tu perspektywę na całość losów ludzkich. Dopiero te skondensowane, krótkie wierszyki dają wyobrażenie, jakiem bogactwem pomysłów epickich rozporządza Hardy. Kilkustrofowe parafrazy ludowych melodyj wessexskich robią czasem wrażenie pierwszych szkiców do powieści. Skoncentrowanie akcji, zestawienie przeciwieństw jest medjum owego litosnego uczucia, nawiązującego do tradycyj romansów Richardsona, w tej twórczości, która szczególną sympatją otacza sponiewierane kochanki, opuszczone dziewczęta wiejskie. Ale wbrew tradycjom sentymentalnym, nieskomplikowana filozofja życiowa pieśni ludowej nauczyła Hardy'ego być poetą tych, którzy nie płaczą. W wierszu „Ah, who are you digging on my grave" umarła młoda dziewczyna dowiaduje się, że wszyscy o niej zapomnieli, a ten, który z nią rozmawia, — jej mały piesek, — przez niedbalstwo tylko zawlókł kość na mogiłę dawnej pani. Stopniowaniem dialogu aż do końcowej zgryźliwej pointy, makabrycznym nastrojem, a przedewszystkiem właściwą balladzie romantycznej melodramatyczną przesadą, przypomina ten wiersz dawne, dobre czasy, gdy zbiór ballad Percy'ego był nowością literacką. Ze swej formy balladowej Hardy niejednokrotnie wydobywał nieoczekiwane efekty — tematem jest dlań zawsze nierozwiązalna zagadka świata i natury ludzkiej.

W „Moments of vision" czarnoksięskie lustro odbija ukryte dziwaczności duszy ludzkiej, jej niewytłumaczalne antynomje — są one objawem tego samego lęku nieskończoności, który widmom każe przesuwać meble w sąsiednim pokoju, który w zakurzonych zwierciadłach odbija twarze ludzi umarłych. Prerafaelici może nauczyli Hardy'ego łączyć realizm z niesamowitością. Sześćdziesiąt lat historji literatury angielskiej odbija się w jego poezji. Sam mówi w antymilitarystycznym cyklu „Poems of war and patriotism", iż szukał granic kraju rodzinnego, aż doszedł do wniosku, że są tak szerokie jak świat. Daremnieby też zakreślać granice jego powinowactwom artystycznym. Ale fragment soficki, elegja Catulla, muzykalna strofa Heinego jest tu tylko elementem, zabarwiającym twórczość nawskroś oryginalną.

Regina Reicherówna.

Conrad a Europa

„Słowiańskość" wielkiego pisarza interesuje Zachód

Bałamuctwa krytyki francuskiej

Grudniowy zeszyt „Nouvelle Revue Française" poświęcony jest pamięci Josepha Conrada. Zawiera on szereg ciekawych fotografij, ilustrujących tło egzotycznych powieści Conrada. Zajmująca jest mapka, na której oznaczone są miejsca akcji powieści i opowiadań Korzeniowskiego, obejmujących całą prawie powierzchnię globu ziemskiego, z wyjątkiem jedynie mórz podbiegunowych. Część literacka dzieli się na wspomnienia i artykuły krytyczne. Wśród wspomnień najciekawsze jest wspomnienie Galsworthy'go, Gide opisuje swoje wizyty u pisarza, Valéry opowiada o pewnej rozmowie z Conradem, której treścią była kwestja przyczyn przewag angielskich na morzu, Lenormand (autor „Samumu") mówi o wspólnym pobycie na Korsyce, wreszcie dwaj najbliżej zżyci z Conradem przyjaciele, G. J. Aubry i Ryszard Curle, dają mnóstwo wspomnień osobistych, uplastyczniając wspaniałą postać pisarza, przyczem Curle zdaje szczegółową relację z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin życia Conrada; wreszcie Cunningham Graham w pięknych słowach maluje pogrzeb Conrada.

JOSEPH CONRAD
rzeźba Jakóba Epsteina

O dziele Conrada mówią: E. Estaunié, A. Chevrillon, A. Maurois, E. Jaloux (porównanie twórczości Conrada z angielskim „roman d'aventures"), J. Kessel (znamienny artykuł p. t. „Conrad Slave"), R. Françillon, A. Saugère, wreszcie R. Fernandez przeprowadza bardzo subtelną analizę „sztuki Conrada".

Zeszytu dopełniają wyjątki z pism Conrada (m. in. początek noweli „Jądro ciemności") i parę listów francuskich do przyjaciół.

Dla polskiego czytelnika rzeczą niezmiernie pouczającą będzie przeczytanie, i to od deski do deski, tego numeru conradowskiego.

Najciekawsze są wspomnienia tych, którzy go znali najdawniej, i tych, którzy go znali najbliżej. Do pierwszych należy znakomity Galsworthy, który jeszcze w r. 1893 odbył z Conradem podróż z Adelajdy do Londynu i znał Conrada-marynarza; to są najdalej sięgające wspomnienia o angielskim pisarzu. Z najbliżej znających autora „Fantazji Almayera" zabiera głos G. J. Aubry. On jeden tylko nakarb pochodzenia Conrada kładzie wiele z tych rzeczy, które innym zdają się niewytłumaczalne.

Skoro, jak rzekłem, nikt nie znał Conrada - dziecka, Conrada - młodzieńca, nikt nie może sobie wytłumaczyć owej polskości, głęboko tkwiącej w duszy samotnika - wygnańca (że dobrowolnego — cóż to znaczy? sądzę, że Chopin, Mickiewicz, Słowacki, byli w połowie jednak dobrowolnymi tułaczami — zresztą to do rzeczy tutaj nie należy, a mam nadzieję jeszcze powrócić do swej tezy). Bolesne w tym względzie nieporozumienia wynikają stąd, iż nikt z pisarzy na Zachodzie nie ma pojęcia, czem była szlachecka kultura polska w połowie XIX w., kultura, której typowym produktem była cała umysłowość Conrada, trzeźwa i konkretna, a jednak żywiąca pewien „literacki" mistycyzm i idealizm. Spostrzegając nawet te rysy charakteru, popełniają przykre dla nas błędy, tak np. p. Chevrillon powiada: „ten realista jest jednak mistykiem: jest to cecha zarówno rasy, której Conrad zawdzięcza pochodzenie, jak również rasy, której zawdzięcza kulturę"... Sądzę, że nawet Chevrillon — gdyby się chciał zastanowić! — zrozumiałby, że siedemnastoletni młodzieniec, wsiadając na barkę w Marsylji, aby potem po morzu obnosić swą samotność przez dwadzieścia lat, musiał już być gotowym produktem pewnej i to bardzo specyficznej kultury.

Redakcja „Nouvelle Revue Française" zdawała sobie widać sprawę z faktu, iż genealogja umysłowości Conrada nie jest w dostatecznej mierze oświetlona w pamiątkowym zeszycie. Nie mogła oświetlić pochodzenia Conrada w ten sposób, jak to uczynił Żeromski w conradowskim numerze „Wiadomości Literackich", nie mogła skorzystać też z listów i pamiętników rodziny. Niemniej jednak wypis ze wstępu do „Wspomnień osobistych", który podano w miesięczniku francuskim, mógłby do pewnego stopnia otworzyć oczy chętne do patrzenia; na str. 744 czytamy co następuje:

„Zdaje mi się,—powiada Conrad,—że stała sympatja moich sędziów przypisuje mojemu pochodzeniu i wpływom historycznym większą część tego, co, mojem zdaniem, jest moją indywidualną własnością. Nic nie jest bardziej obce jak to, co się nazywa w świecie literackim „duchem słowiańskim" temperamentowi polskiemu, z jego tradycjami niezależności, („self-government"), z jego rycerskiem poczuciem zasad moralnych i z jego przesadnym szacunkiem dla praw indywidualności: nie mówiąc już o tym fakcie, że cała umysłowość polska, zachodnia z natury, wychowana była przez Francję i Włochy i historycznie nigdy nie przestała być w kontakcie, nawet w materjach religijnych, z prądami najbardziej liberalnemi myśli europejskiej. Bezstronne uczucie ludzkości w stosunku do człowieka na wszystkich szczeblach, od świetności począwszy aż do nędzy, połączona ze specjalnemi względami dla tych, którzy nie należą do uprzywilejowanych na tym świecie, — i to nie ze względów mistycznych, ale poprostu przez solidarność, z uwzględnieniem zacnej wzajemnej pomocy, — taka była atmosfera umysłowa i moralna domów, które były przytułkiem dla mego pełnego przygód dzieciństwa: było to uczucie, urodzone z przekonania spokojnego i głębokiego, zarazem trwałe i konsekwentne, i jak najbardziej oddalone od tego humanitaryzmu, który zdaje mi się być płodem oszalałych nerwów lub chorobliwego sumienia" (podkr. nasze).

Jest to wyraźna wskazówka dla krytyków Conrada, gdzie należy szukać porównań, objaśnień i paraleli, zarazem wyraźne odkreślenie „domów, które były przytułkiem dla mego pełnego przygód dzieciństwa", od tego, co się na Zachodzie nazywa „słowiaństwem", a co w rzeczywistości oznacza Rosję.

Nic też dziwnego, że pisarz, który odmawiał przybycia na pewne zebranie, gdyż — pisze Cunningham Graham — powiadał poprostu: „Non, il y aura des Russes!", nienawidził poprostu przyrównywania go do Dostojewskiego. Samo nazwisko tego pisarza przyprawiało Conrada o nierozsądny gniew, który nie pozwalał mu nawet na postawienie jakich takich objektywnych zarzutów. Nic to nie pomogło, nazwisko autora „Braci Karamazowych" nie schodzi z ust wszystkich, którzy zabierają głos w omawianem wydawnictwie. Ale jakoś nie mogą sobie dać rady z tem przykrawaniem Conrada à la manière russe. Oczywiście, że jedyny Słowianin jako taki znany na Zachodzie jest jedynym sprawdzianem słowiańskości Conrada, — i o tyle tylko Conrad wydaje się Francuzom Słowianinem, o ile przypomina Dostojewskiego. Zasadniczą różnicę spostrzega wprawdzie J. Kessel w swoim wywodzie o słowiańskości Conrada („Conrad Slave"), zaopatruje ją jednak niedbałym przysłówkiem „wprawdzie". „Wprawdzie — powiada Kessel — naznaczył swych bohaterów pewną siłą moralną, wyraźnie podkreśloną, zawsze czynnem poczuciem honoru, którego brak postaciom rosyjskim"... Oczywiście jest to owa zasadnicza różnica kultur, sprawiająca, iż Polak mniej się różni od Francuza, niż od bratniego pochodzeniem Rosjanina. Owa zasadnicza różnica, którą już tak mądrze wyjaśnił Michelet w swej zapomnianej książeczce o polskiej męczennicy. Ale parę wierszy przedtem ten sam Kessel powiada, że „Conrad nie jest jednak ani specyficznie rosyjski (!) ani specyficznie polski — posiada tylko ów ton słowiański i t. d."

Wynika z tego poprostu, iż Francuzi pojąć nie mogą, że Polak w epoce i w sferze Korzeniowskiego nie nosił na sobie i nie mógł nosić żadnych wpływów rosyjskich. Wszyscy podnoszą z zadziwieniem fakt, że Conrad świetnie władał w mowie i w piśmie językiem francuskim, a niektórzy widzą nawet w jego marsylskim akcencie echa pobytu we francuskiej marynarce handlowej; nie pamiętają o tem, że Conrad, syn zamożnych obywateli polskich, wychowywał się poprostu na francuszczyznie. Gide powiada, iż czytał biegle w trzech językach, i że zawsze był obłożony kilkunastoma książkami różnych języków, a G. J. Aubry stwierdza, że były to książki polskie, francuskie i angielskie. Wynika z tego, że Conrad nawet języka rosyjskiego nie znał i jeżeli wspominał o Turgieniewie, to chyba tylko znając go z przekładów francuskich.

Jak bardzo nie rozumiano dotychczas i nadal nie rozumieją nawet najbliżsi i najżyczliwsi pisarze, czem była dla Conrada Polska, świadczy następujący passus ze wspomnień Galsworthy'ego:

„...żona jego (Conrada) mówiła mi, że pewnego rodzaju tęsknota do kraju ogarnęła go w ostatnich miesiącach życia, że, zdawało się chwilami, iż chce wszystko porzucić, aby tylko wrócić do Polski. Było to wezwanie narodzin do śmierci — nic więcej, napewno"...

Czy aby tylko napewno, o panie Galsworthy!?

Jarosław Iwaszkiewicz.

*

Piotr Mille ogłasza w „Les Nouvelles Littéraires" na miejscu naczelnem artykuł p. t. „Dlaczego Conrad nie pisał po francusku?" Kwestja ta jest rzeczywiście o tyle interesująca, że Conrad, jak wiadomo, równie dobrze posiadał francuski co angielski. Mille'owi wybór języka twórczości nie wydaje się dziełem przypadku — przeciwnie, uważa on, że Conrad, postępując tak jak postąpił, działał zupełnie świadomie. Ten świadomy wybór miał dwie przyczyny. Pierwszą było to, że Conrad pisał powieści „morskie" i pisząc je po angielsku, wiedział, że przemawia do 200 miljonów obywateli angielskich: gdyby pisał je po francusku, mógłby liczyć na znacznie mniejszy krąg czytelników. Druga przyczyna — według Mille'a — tkwiła w polskiej narodowości Conrada. Tu Mille analizuje „Tajnego agenta" i przychodzi do przekonania, że Conrad nie mógłby tematu tej powieści rozwinąć na gruncie francuskim i zastąpić Londynu Paryżem. Powieść o ambasadorze rosyjskim w Paryżu, spełniającym zadania prowokatora, nie byłaby do pomyślenia w okresie miodowych miesięcy przyjaźni francusko - rosyjskiej. Taka powieść po francusku nie znalazłaby wydawcy, a gdyby nawet się znalazł, powieść zabitoby milczeniem. Zbyt poważne bowiem interesy polityczne wchodziły wówczas w grę! Lecz Conrad — woła Mille — był przecież Polakiem. Nienawidził Rosji. A w czasie kiedy we Francji nie wolno było nic złego powiedzieć o rosyjskim niedźwiedziu, w Anglji było to mile widziane. W ten sposób Conrad mógł po angielsku pisać co mu się podobało, po francusku — miałby usta zakneblowane.

O ile pierwszy argument Mille'a wydaje się całkiem rozsądny i do przyjęcia, o tyle drugi jest sztuczny i naciągany.

*

O pracowitości angielskiej dobrze świadczy fakt, iż zaledwie w kilka miesięcy po śmierci Conrada Ford Madox Ford (Hueffner), współautor „Romance", „The Inheritors" oraz „The Nature of a Crime", wydał książkę p. t. „Joseph Conrad. A Personal Remembrance". Fordowi niejednokrotnie zdarzało się rozmawiać z Conradem o istocie biografji; jako rezultat tych dyskusyj wynikło przekonanie, że biografja winna być przedewszystkiem interesującą powieścią. To też „Wspomnienia" są wedle własnych słów autora „projekcją" Conrada, ujętą w „progression d'effet" zamiast w czasowo uporządkowane następstwo zdarzeń.

Stąd też może pochodzi szereg jaskrawych nieścisłości, na które zwraca uwagę sprawozdawca „New - York Timesa". Istotnie, wątpliwe jest, czy Conrad zawdzięczał tak wiele Fordowi, jak o tem mówią „Wspomnienia". Niemniej jednak przynoszą one ciekawy materjał, informując dokładnie o warunkach, w jakich powstawały niektóre dzieła pisarza. „Nostroma" zaczął pisać w jakimś hoteliku na wybrzeżu belgijskiem; miała to być mała książeczka, którą należało skończyć jak najprędzej, aby zdobyć nieco pieniędzy. Ford przytacza urywki z wielu dzieł Conrada; różnice w redakcji ostatecznej dotyczą najczęściej układu zdań, albo też rozmieszczenia opisów, dialogu, czy też koniecznej ekspozycji w toku opowiadania. Wedle relacji Forda rola Conrada w „The Inheritors" polegała tylko na wykończeniu każdej sceny.

Dla czytelnika polskiego szczególne znaczenie posiada sprawa „ujęzykowienia" Conrada. Miał on się odezwać kiedyś do Forda: „o rzeczach najprostszych, najbliższych, niejasno myślę po polsku, gdy próbuję wyrażać się starannie — czynię to po francusku". Kiedyindziej znowu powiedział: „przy pisaniu myślę po francusku, a potem dopiero tłumaczę gotowe zdania na język angielski". Ford opowiada, iż Conrad do końca życia odczuwał niechęć do składni angielskiej, która — zamiast wyjaśniać — zaciemnia obrazy i pojęcia; żałował podobno niejednokrotnie, że nie zaczął raczej pisać po francusku. Flaubert stanowił jego ulubioną lekturę; z pośród autorów angielskich najbardziej cenił Marryata. Ford nie mówi oczywiście o upodobaniach Conrada w zakresie literatury, która niegdyś była mu ojczysta. Ale czy nie wartoby zbadać, jaką rolę w twórczości wielkiego angielskiego prozaika odegrała polska tradycja literacka?

Sensacyjna premjera Teatru im. Słowackiego

„Śmierć na gruszy" Witolda Wandurskiego

Wywiad „Wiadomości Literackich" z autorem

Nazajutrz po premjerze, urozmaiconej wybuchem zachwytu i oburzenia, wyciągam autora na słówka.

— Czy pan naprawdę, jak zapewniają recenzenci, wyrzeka się docna problematyki, idei i zdąża do czystego teatru, prymitywu, infantylizmu, teatru czystej zewnętrzności?

— Nic podobnego. Mam żywe poczucie potwornych antynomij tragicznych, które czają się w łonie współczesności. Dojrzewa we mnie dramat o rewolucji. Myślę o niej, jak o Saturnie, pożerającym własne, najlepsze dzieci; to znów rują mi się analogje do Rzymu u schyłku republiki, i domaga się we mnie głosu katynaryzm naszych dni, nienawiść do kultury umierającej. Ale nie znajduję odpowiedniego wyrazu dla tych zmagań. Wydaje mi się, że nie znajdują go też inni, choć się nad nim mozolą. Np. Kaiser. Dlatego, nim narodzi się nowy Dionizos, chciałem wyciosać mu kołyskę i przygotować pieluchy. Świadomie ograniczyłem się tedy do scenarjusza, do formalnych walorów teatru.

— Szukał ich pan w sobie, w swoim mocnym instynkcie teatru, który panu wszyscy zgodnie przyznają, czy pomagał pan sobie cudzem doświadczeniem?

— Obciążony jestem tobołem erudycji teatrologicznej. Badałem starą commedia dell'arte, polską komedję rybałtowską, wczesnych romantyków, Karola Gozzi'ego, nade wszystko zaczarowany świat E. T. A. Hoffmanna. Skoro wyrzekłem się narazie idei i psychologji, pociągnął mnie świat masek, marjonetek, figurynek. Konstruowałem je w geście, skandowałem w dykcji, komponowałem w zorganizowanym ruchu. Uruchomiłem je wreszcie w gotowym schemacie mitu, jak to czynił wszelki dramat pierwotny. Użyłem klechdy ogólno - aryjskiej o śmierci unieszkodliwionej, w jej wersji wielkopolskiej, co mi dało możność skonstruowania kilku nowych motywów komizmu sytuacji. Zresztą naiwna kanwa baśni ludowej posłużyła mi tylko odskocznią do aluzyj aktualnych, traktowanych rozmyślnie „feljetonowo", z punktu widzenia przeciętnego widza.

— Są tacy, którzy twierdzą, że wyłazi z niej szydło albo raczej żądło, godzące prosto w obolałe miejsca oficjalnej ideologji?

— Wyznam, że chodziło mi o „zdopingowanie" widza, o zbudzenie go z odrętwienia i śpiączki... W pewnym momencie czysta forma artystyczna zamienia się spontanicznie w treść. Czasem w wyższym stopniu w realizacji scenicznej, niż w akcie tworzenia. Zorganizowany ruch moich figurynek napełniał się coraz bardziej radosną, żywiołową niemal afirmacją życia, nienawiścią do martwoty, do wszystkiego, co — nieżywe już w aktualnym momencie kultury — umrzeć jednak nie może, bo śmierć siedzi na gruszy. Stało się to zwłaszcza w obrazie mobilizacji i wojny, gdzie zabawa zachichotała niespodzianie, niby koszmar, i przeraziła samego pana wojewodę. Wykastrowana przez cenzurę na drugim spektaklu, znów jest grzeczną zabawką — a co sobie myśli autor, — powie później, gdy dojrzeje w nim to, o czem mowa na wstępie.

WITOLD WANDURSKI
rysunek Karola Hillera

— A pana, jak to się mówi, rosyjskie sposobv i sposobiki: wciąganie w wir akcji widowni, zrywanie złudzenia scenicznego, dezawuowanie autora i t. p.?

— Są to stare, już Plautowi znane sposoby wzmacniania sugestji teatru. Dowodzą one, że czar teatru nie leży w złudzeniu, że można tedy igrać z niem i bezkarnie je burzyć, nie niszcząc teatru jako takiego, bo jego istotą jest igranie z rzeczywistością, pomnażanie jej elementów, a tem samem bogacenie skali odczuwania życia. Jeżeli zaś chodzi o „wpływy", to raczej E. T. A. Hoffmann i Grabbe oraz komedja jarmarczna skusiła mnie do użycia owych rzekomo rosyjskich „sposobów i sposobików". Z dramaturgów zaś rosyjskich największe wpływy wywarł na mnie ironiczny Teodor Sołłogub.

— Jeszcze słówko o wykonaniu. Jest pan z niego zadowolony?

— Postawiłem zespół wobec niebylejakich trudności i z przyjemnością stwierdzam, że radził sobie z niemi nadspodziewanie szczęśliwie. Może bruździły tu i owdzie nałogi gry naturalistycznej, może za mało stosowano rytmikę gestu i ruchu zbiorowego, może wypaczono kiedy niekiedy tekst w kierunku t. zw. ludowości, czego unikałem, poprzestając na prozie prostej, niemal rytmicznej, uwzględniającej oddech aktora. Pozatem w aktach późniejszych nie zawsze udało mi się wydobyć tempo, — ale zważywszy nowość zadania i małą ilość prób, muszę wyrazić wszystkim grającym moje najżywsze uznanie za życzliwą gotowość, z jaką chcieli ze mną współpracować. Ale nade wszystko czuję gorącą potrzebę oddania na tem miejscu hołdu inicjatywie i wysokiej kulturze dyr. Trzcińskiego, jedynego dziś w Polsce dyrektora teatru, który nie bacząc na ryzyko kasowe i moralne, nie waha się podać ręki pomocnej młodemu autorowi polskiemu. Jak mu się za to w dawnych „polskich Atenach" odpłacają, miałem sposobność poznania na miejscu. Ale o tem kiedyindziej.

— Istotnie, jest pan siódmym autorem polskim, którego dyr. Trzciński wprowadza na scenę. Są w tej kompanji nazwiska, które dobrze dziś służą teatrowi polskiemu. Oby to było szczęśliwą wróżbą!

Quis.

Nowe wydanie „Kazań sejmowych"

Tło polityczne wystąpień Skargi

Wyniki badań prof. Stanisława Kota

W najbliższych dniach ukażą się w nakładzie Bibljoteki Narodowej „Kazania sejmowe" Skargi. Ze wstępu prof. Stanisława Kota dajemy fragment, ciekawie i oryginalnie ujmujący tło polityczne wystąpień wielkiego kaznodziei.

*

Ale skądże ośmieliłby się Skarga do tego rodzaju wystąpienia? On, karny członek zakonu, teolog, nie polityk, jakżeby ważył się układać własny program najradykalniejszej reformy Rzplitej, jaką kiedykolwiek publicystyka polska sformułowała, program całkowitego przesunięcia władzy Rzplitej, program prawdziwie absolutystyczny, i z nim występować wobec doświadczonych polityków, najwybitniejszych mężów stanu, powołanych do steru spraw państwowych!

Otóż po pierwsze Skarga nie występuje z własnym programem politycznym w „Kazaniach sejmowych". On był jego zwolennikiem, umiał go wymownie sformułować i bronić, ale nie on go stworzył. Wszakże to jest program dworu i senatorów-regalistów, których duszą, jak wiemy, byli biskupi. Porównywając literackie wywody „Kazań sejmowych" z krótkiemi streszczeniami, pośpiesznie przez niewiadomych obserwatorów notowanemi, przemówień biskupów Radziwiłła, Rozrażewskiego i Maciejowskiego, odkrywamy całą tajemnicę. U Skargi odnajdujemy te same myśli, argumenty, nawet frazesy, — tylko, że to, co oni na sejmie wypowiadali ostrożnie, czytamy w „Kazaniach sejmowych" bez zamilczeń, z kropką nad i oczywiście przystosowane do pozyskania tych, na których zależało.

Nie trzeba zapominać, że Skarga był przyjacielem i powiernikiem biskupów, którzy posługiwali się jego wpływem u króla; że nie mógł też on, kaznodzieja nadworny, być obcy naradom i planom, jakie z okazji przyjazdu legata Gaetano rozwijano w poufnem kole dostojników kościelnych. Jakie plany rozsnuwano po zmarnowanym sejmie 1597 r. w tem gronie, dowiadujemy się ubocznie z fragmentów, jakie nas doszły z relacji papieskich wysłanników. Gaetano objaśniał, że „stan polityczny królestwa polskiego jest dość zaburzony, i pod imieniem wolności kryje się zbytnia swawola, która, grozi obawa, może zrujnować to znakomite królestwo". Nuncjusz Malaspina podawał wręcz sposób wyprowadzenia Polski z chaosu politycznego, jeżeli się chce ligę uskutecznić: „Trzeba uprzątnąć zawiści i niezgodę pomiędzy obywatelami, znieść nie tylko istotę, ale samo nawet imię partji austrjackiej i kanclerskiej, nakoniec za radą i pomocą nuncjusza tak się urządzić, iżby nie słyszano o żadnej innej, tylko o królewskiej, co uwolni króla z przykrego położenia, w jakiem się dotąd znajduje, bo jeśli ma powody nie ufać partji austrjackiej, dawać musi otuchę kanclerskiej i nawzajem, jeśli nie dowierza kanclerskiej, podsyca austrjacką".

A właśnie „Kazania sejmowe" zmierzają, jakby w myśl tej recepty, do uprzątnięcia niezgody między obywatelami i do ściągnięcia partji kanclerskiej do boku królewskiego, do pogodzenia jej z regalistami - austrofilami.

Usprawiedliwiając się w r. 1606 z powodu zarzutu rokoszan, iż propagował z kazalnicy absolutyzm, wspomniał Skarga, że o polityce, o ustroju władz w Rzplitej „mówić na sejmowych kazaniach stąd mi przychodziło, gdym z żałością serdeczną, z miłości ku ojczyźnie, z innymi bacznymi a pokornymi na rozerwanie sejmu patrzył"... Przyznaje się zatem, co i bez tego przypuścićby się musiało, że te jego wystąpienia nie były samowolne, ale w porozumieniu „z innymi bacznymi a pokornymi". Nie znajdziemy dokumentów, stwierdzających nazwiska tych osób, dających Skardze w jego wystąpieniach politycznych oparcie moralne, czy raczej inspirację. Ale na podstawie biografji Skargi możemy przypuszczać, że wymienieni wyżej trzej biskupi, przywódcy partji regalistów, których mów pokrewieństwo z „Kazaniami sejmowemi" wpada w oko, należeli do tych „bacznych". Każdy z nich był od wielu lat bliskim przyjacielem Skargi, a wszyscy trzej byli wielbicielami jego talentu i osoby, on zaś do wszystkich odnosił się poufale. Z Rozrażewskim zaznajomił się jeszcze jako z kanonikiem płockim, za pośrednictwem jego brata, swego zakonnego współtowarzysza; jak Rozrażewski go cenił, widać stąd, że już w r. 1584 usiłował ściągnąć go na sejm dla wygłaszania kazań przed dworem. Za panowania Zygmunta III Rozrażewski uciekał się do poparcia Skargi w swych zabiegach o rewindykacje kościelne w djecezji kujawskiej, zwłaszcza w miastach pruskich, i pozostał z nim w ścisłych stosunkach. Maciejowskiego znał ongiś Skarga na Litwie jako młodego dworzanina u boku Batorego i od tego czasu pozostawał z nim w zażyłości, stwierdzonej przytem przez wspólne zabiegi około unji, Radziwiłł był jakby jego wychowankiem; — wszakże Skarga, opiekun ducnowy katolickiej odrośli Radziwiłłów, przyprowadził go do katolicyzmu, zajmował się jego edukacją, nie dopuścił go do wstąpienia do jezuitów i odegrał wybitną rolę w staraniach jego o stolicę biskupią. Rzecz prosta, że będąc nadto wpływowym kaznodzieją królewskim, był Skarga powiernikiem planów i polityki przywódców partji dworskiej.

Pewność siebie i stanowczość, z jaką Skarga porusza najdrażliwsze sprawy w „Kazaniach sejmowych", świadczy, iż czuł za sobą poważne grono tak samo myślących, iż występował nie w swojem imieniu, ale był wyrazicielem całego obozu. „Kazania sejmowe" musimy traktować jako przemówienia od regalistów do grupy Zamoyskiego, jako propozycję współdziałania około pewnego programu politycznego.

Czy Skarga nadawał się na wyraziciela tej propozycji w takich okolicznościach? dlaczego jemu właśnie to zadanie powierzono? Odpowiedź nietrudna: Skarga był jedynym człowiekiem u dworu, który miał bliższe stosunki z opozycjonistami i mógł liczyć u nich na pewne zaufanie. On, dawny wielbiciel Batorego i wykonawca jego planów w swoim zakresie, następnie przeciwnik kandydatury habsburskiej, znany dobrze Zamoyskiemu z dawnych lat i przezeń szanowany, nie mógł uchodzić za narzędzie austrjackiej polityki. Wiadome było energicznie jego wystąpienie w Rewlu 1589 r. wobec młodego króla, który zamierzał opuszczać Polskę (na rzecz Habsburga): Skarga zgodnie z wezwaniem hetmana odmalował w kazaniu grozę najechanych przez Tatarów kresów — i żądał stanowczo od króla natychmiastowego powrotu; w razie odmowy króla opuszczał stanowisko kaznodziei nadwornego. Dzięki tym, a zapewne i różnym innym, dziś nam nieznanym, okolicznościom Skarga był dobrze widziany wśród opozycjonistów. To też jego pośrednictwa użyto w r. 1592 po sejmie inkwizycyjnym do pogodzenia Zamoyskiego, Zebrzydowskiego i Leśniowolskiego z królem. I teraz, w pięć lat po poprzedniej interwencji, spotykamy Skargę w roli pośrednika. Jak wówczas, tak i teraz nad wypogodzeniem sytuacji czuwał nuncjusz Malaspina, do którego rozporządzenia stała gotową starszyzna jezuicka wraz ze Skargą. Tem się wyjaśnia, że kaznodzieja z celi zakonnej zabrał głos na arenie politycznej w najdonioślejszych sprawach państwowych.

Ostatni tom poezyj
Gabrjela KARSKIEGO
p. t.
GRA
Skład główny: T-wo Wydawn. „IGNIS"

Powieść i nowela

Wacław Grubiński. Lwy i święty Grojosnaw. (Okładkę rysował **Edmund Bartłomiejszy).** Warszawa, E. Wende i Spółka, (1924); str. 4nl. i 177 i 3nl.

Szczególne jest, że w twórczości Grubińskiego zaczyna żywioł dydaktyczny zajmować tyle miejsca. Coś podobnego stało się ostatnio i z Grabińskim. Z pewnością byłbym ostatni, któryby temu żywiołowi odmawiał uprawnienia w poezji. Może on pobudzać wyobraźnię i wzruszać tak samo jak każdy inny. Ale to jest niebezpieczne, że dydaktyka wyzywa zwykle do dyskusji, do sprzeciwu; musi być jakaś myśl szczególnie oszołamiająca, nowa i zwycięska, aby po aprobującej kontroli intelektu, oddziałać na „uczucie".

Oczywista, mówię tu o myślach nie filozoficznych, lecz poetyckich, to jest takich, które są jeszcze zmieszane z życiem i z życia dopiero się wykluwają. Otóż w legendzie o św. Grojosnawie rozwiązanie, myśl, przychodzi z zewnątrz, przynosi ją Grojosnawowi we śnie anioł-lew, filozof, wygłaszając niemal wykład o dobroci i wyrozumiałości. Grojosnaw przygotowuje właśnie zemstę na lwach, które mu pożarły ojca, — gdy wtem zostaje pouczony, że „złość kładzie się pokornie u kolan dobroci". Niech na świecie zapanuje wzajemna ufność wszystkiego, co żyje, ale to się pojmie tylko uczuciem, a rozum jest tylko ślepym żebrakiem czucia. Lew pożarł ojca, więc przez to stałby się niby sam tym ojcem, i Grojosnaw zabijając lwa, zabiłby tem samem ojca. I Grojosnaw idzie między lwy, nie wrócił z tej wycieczki nigdy, ale też i lwy nigdy już nie nawiedziły jego rodzinnej zagrody. Coś się tam stało między Grojosnawem a lwami, misterjum porozumienia, i dlatego on jest święty.

Co się stało? Wiadomo tylko, że poszedł lwy przekonywać, aby nie wyrządzały nic złego. Reszty nie wie nikt, nawet niema żadnej wskazówki potemu, nie wie tego zapewne i sam autor. Powie się: nie jest obowiązany wiedzieć, bo to jest przecież legenda. Ale mam wrażenie, że styl legendy, zresztą znakomicie zachowany, łamie się w tym właśnie punkcie, gdzie zaczyna się perora lwiego anioła czy anielskiego lwa. Tak robił wprawdzie i France, i wogóle niema przecież żadnej reguły, że jeżeli jest legenda, to musi mieć formę taką a taką; autor może każdej chwili stworzyć sobie nową formę. Lecz tutaj mamy wypadek, że autor, łamiąc formę konwencjonalną, jednocześnie chowa się poza nią. Zadowala się dowcipem, wmawia nam coś, w co sam niebardzo wierzy; najważniejszą część zagadnienia podsuwa do załatwienia jakiemuś X, angelusowi ex machina.

Można ludziom prawić, że zemsta nie jest rzeczą etyczną — z chrześcijańskiego, z ludzkiego punktu widzenia, że i lew jest stworzeniem bożem, więc powinno się go oszczędzać. Schopenhauer powoływał się na indyjską maksymę: „tat twam asi" — „to jesteś ty!": nie niszcz samego siebie! Nawet pluskwy nie wolnoby było zabijać według tej etyki. Ale tu nasuwa się owa odpowiedź, którą ktoś w pewnym parlamencie dał, gdy stronnictwa liberalne żądały zniesienia kary śmierci: niech panowie mordercy zaczynają od siebie! — Niechżeby był i ten lew zaczął od siebie. Grojosnaw o tym argumencie zapomniał. No, ale ostatecznie tu chodzi o bezinteresowne przebaczenie. Jeżeli lew jest świnią, Grojosnaw nie potrzebuje być świnią. Ale gdy Grojosnaw wstrzymuje się od zabicia lwa dlatego, że mógłby w nim uszkodzić zabitego ojca, legenda staje się groteską.

Sprawy estetyczne są jednak tak skomplikowane, że nieraz coś, co jest błędem przed jedną instancją, staje się zaletą w drugiej instancji. Albowiem właśnie w tem groteskowem, paradoksalnem, nieco humorystycznem ujęciu tezy pokazuje się indywidualność autora lepiej, niż gdyby był zbudował legendę prawidłową. Prócz tego pokazuje się w tem jakaś aż do przesady posunięta dyskrecja, wymijanie patosu, usuwanie tragedji w cień, może w wierze, iż taka tragedja przykryta tem silniej działa. Odpowiedni też jest wszędzie styl u Grubińskiego: jasny, nie przeładowany ozdobami, lecz nie pogardzający niemi tam, gdzie się nasuwają, ale daleki od tego — że tak powiem — maksymalizmu, którym Żeromski zaraził całe poprzednie pokolenie pisarzy, — i nie tylko poprzednie.

Tę metodę ukazywania tragedji pośrednio znajdujemy w noweli „Odwiedziny", pomyślanej najlepiej, choć również przeładowanej dydaktyzmem. Ale dydaktyzm jest tu poniekąd usprawiedliwiony, ponieważ jednym z działających jest dziadunio. Bona przyprowadza wnuczka do dziadunia, a sama uwalnia się, — zapewne idzie na randkę. O tej randce i jej znaczeniu dla bony dowiadujemy się tylko ubocznie. Między trojgiem rozsnuwają się nici tajemnicze, nawiązane przez prawdziwego dramaturga, którego interesują przedewszystkiem: duchowe stosunki ludzi do siebie, sytuacja psychologiczna na scenie. Dziadunio panuje nad sytuają, wie wszystko, likwiduje całą tragedję w duszy biednej bony, likwiduje przytem i samego siebie. W spokojnem napozór naczyniu tej noweli tak wiele się dzieje. To jest jej wdzięk specjalny.

Podobny charakter ma i nowelka „Ostatnia bajka Szeherezady", którą opowiada żona mężowi w chwili, gdy on ma się udawać na schadzkę z inną kobietą, czego się żona domyśla. I tutaj również na małej przestrzeni nagromadzone jest znaczne skupienie dramatyczne. I ta trzecia rzecz jest nastrojona na ton wyrozumiałości. Jest ciekawe, że teorja życia u Grubińskiego (o której swego czasu pisał b. inteligentnie Stefan Kołaczkowski w dodatku literackim do „Narodu") po przesileniu w „Lampie Aladyna" zmienia nieco barwę, i stała się teorją wyrozumiałości.

Odrębne stanowisko ma nowelka „Obraza". Autor chciał tu uwypuklić słuszną myśl, że niewzajemność w miłości nie jest rzeczą niewinną, lecz obrazą osobistą. Mąż mści się za tę obrazę na swojej żonie, zabija ją — i oto mamy go przed sądem, słyszymy jak się tłumaczy. Ciekawy jest ten moment psychologiczny: w chwili gdy żona umarła on uspokoił się zupełnie; lecz to był letarg, z uśpienia budzi ją nie on, mąż lecz jego rywal, i to go doprowadza do wściekłości.

Ale i tu za dużo retoryki, za mało tworzywa. Wszystko wypada cokolwiek za chudo, nie przekonywa. Może zbyt pośpiesznie robione. Autor ten tworzy nawskroś „intelektualnie", „mózgowo", jakkolwiek ma za doktrynę antyintelektualizm (tak samo stało się z Grabińskim).

W szczegółach dość zdawkowe, utwory jego interesują dopiero z oddalenia, jako całość.

Godne uwagi jest wreszcie to, że te nowele, pełne psychologji i „anegdoty", pojawiają się właśnie w epoce, w której najnowsze doktryny literackie zwalczają i jedną i drugą. Są to więc niby niedobitki. Byłbym ciekaw, o ile sam autor, który jest także teoretykiem, uświadamia sobie tę „przestarzałość" i co miałby doktrynerom do odpowiedzenia. Co do mnie, to nie rozwodząc się tu dalej, staję po stronie pogardzanej psychologji i anegdoty i czekam aż do następnej mody.

Karol Irzykowski.

Wanda Miłaszewska. Cmentarz i sad. Powieść w dwóch częściach. Poznań, Księgarnia św. Wojciecha, 1924; str. 8nl. i 389 i 3nl.

W jednem ze swych sprawozdań kinematograficznych powiada Irzykowski, iż nie wyzyskaliśmy jeszcze w obrazach świetlnych wielkich możliwości polskiego folkloru, a zwłaszcza całego prowincjonalnego stylu naszych wsi i miasteczek. Czyż wyzyskaliśmy je w literaturze przynajmniej? W epoce naszej, tak bardzo wrażliwej na poczucie stylu, nie zdobył się nikt na oddanie nastroju naszej zapadłej wsi i jej mieszkańców, nastroju dworu, otoczonego legendami, a już patrzącego w inną przyszłość nowego życia, w nastrój małego miasteczka. Sądzę, że powołana do tego mogłaby być pani Miłaszewska. W powieści jej raz wraz przemyka się obrazek mijającego stylu. Doskonała postać siostrzenicy księdza, rodziny państwa Gnatowskich konterfekt, same dzieje dworów w Kosiance i Bożej Woli (nie należało chyba nadawać takiej nazwy siedlisku idealnego bohatera!) — to są próbki tego, czem mogłaby się stać powieść Miłaszewskiej, gdyby mniej było w niej moralizatorstwa i szablonu. „Księga umarłych" zamknięta, zaczyna się nowy byt, nie można idealizować przestarzałych form kosztem kipiącego życia. I właściwie mówiąc sympatja nasza zbyt często staje w obronie pokrzywdzonej pani Meli, która przecie dużo czyta i ślicznie gra Chopina. Pani Miłaszewska uważa to za wady, niegodne przebaczenia.

Jeszcze trochę opanowania, więcej dojrzałości, więcej powściągliwości, mniej psychologji, która będzie zawsze u kobiety quasi - psychologją, większego przeniknięcia się tem, czem jest legenda wsi polskiej, niekoniecznie obserwowanej z ganku z filarkami, — a bardzo polski sposób pisania pani Miłaszewskiej, prosty i uczciwy, może ją wysunąć do pierwszego szeregu piszących w Polsce pań. Chcielibyśmy też, aby umiłowała prześliczną książkę szwedzkiej koleżanki po piórze, „Göstę Berling". Zdaje się być stworzona do opracowania podań o polskim dworze który jużcić dramatyczniejsze przechodził koleje w ostatnich stu pięćdziesięciu latach, niż spokojne zamki nad zwierciadłem Löffenu.

ji.

„Gösta Berling"

Bibljoteka Laureatów Nobla pod redakcją dra **Stanisława Lama.** Tom 29. **Selma Lagerlöf.** Gösta Berling. Przekład **F. Mirandoli.** Poznań, Wydawnictwo Polskie, 1924; str. 8nl. i 467 i 5nl.

Wielki naród-marnotrawca roztrwonił, rozproszył i rozsypał poprzez całą Europę, poprzez całe wieki bogactwa swoje i siły, wreszcie jak ślimak cofnął się do swej skorupy, zastygł, zamyślił się, skupił. Czasami tylko echo wielkich rycerskich tradycyj zagra, przypomni wyprawy Gustawa Adolfa, Karola XII albo wojny napoleońskie — ostatnie wielkie wystąpienie na teatrum europejskiem. W dworach dalekich, północnych, samotnych, przez pół roku przysypanych śniegiem, tułają się wspomnienia.

Selma Lagerlöf

Czyż w nastroju, w treści wewnętrznej życie tych szlacheckich domów dalekiej Szwecji nie przypomina nam życia naszych dworów? Może dla tej bliskości nastroju tak bliskie i kochane stają się książki Selmy Lagerlöf.

Nawpół fantastyczne historje dwunastu rezydentów, legendy, opowiadania, tradycje z bajką pomieszane, które pozbierała w swych rodzinnych stronach i które jak „pszczoły wyobraźni z trudnością mogą się pomieścić w ulu rzeczywistości" — to jakby opowiadania nasze, bliskie, i zwłaszcza bardzo szlacheckie.

Oczywiście trudno tu budować jakiś pomost identyczności (czy może nawet historyczności — np. stwierdzić raz jeszcze prawdziwość legendy o napółwowem pochodzeniu polskiej szlachty!) na wątłych podstawach pewnych osobliwych zwyczajów, pewnego paralelizmu w rozwoju historycznych losów dwóch krajów o pokrewnej strukturze społecznej. Niemniej jednak paralelizmy te stwarzają to, że atmosfera powieści Selmy Lagerlöf nie jest nam tak obca, jak dajmy na to atmosfera powieści norweskich lub duńskich. Może dlatego czytamy tę rapsodję kawalerskich czynów z nazbyt wielką pobłażliwością, marząc, że to jakaś polska autorka, zamknięta w dworku nad Gopłem czy nad Switezią, spisała legendy i bajki swojej okolicy w podobnie czarowny sposób. Niestety, Selma Lagerlöf jest Szwedką; przypomina to nam nie tylko jej nazwisko i nazwiska jej bohaterów, lecz i usłużny tłumacz, który wszelkich sił dokłada, aby upewnić czytelnika w tem, że książka ta nie w polskim języku jest pisana.

Oczywiście, gdy czar fantastycznej powieści nieco opanujemy i zastanowimy się nad tem, jak to p. Lagerlöf te olbrzymie pszczoły wyobraźni do ciasnego ula pakowała, musimy spostrzec przedewszystkiem jedną wadę. Mianowicie niezdecydowanie w kompozycji, — ciężar epoki naturalistycznej i racjonalistycznej, — z którą Selma Lagerlöf nie może sobie dać rady. Fantazja i legendowy ton, ponoszący autorkę, wciąż się potyka o kamienie, rzucane jej pod nogi przez specyficzne pojmowanie świata, pojmowanie epoki, w której „Gösta Berling" był pisany. Pragnienie psychologizowania i usprawiedliwiania się z „nierealistycznego" przedstawiania zdarzeń mąci od czasu do czasu tok staroświeckiej opowieści.

Jest tutaj także sporo winy tłumacza. Bajki takie, i to w formie pokaźnej powieści podane, zachwycają i czarują, oczywiście o ile stworzy je taki talent, imaginacja tak zapalna — jak Selma Lagerlöf. Wymagają one jednak koniecznie wytwornej oprawy, t. zn. stylu bez najmniejszego zarzutu, pięknego i dźwięcznego. Dla nas, którzy szwedzkiego języka nie znamy, styl Selmy Lagerlöf na zawsze będzie zamknięty na siedem pieczęci; ale bylibyśmy wdzięczni tłumaczowi, który w dodatku tłumaczył „z oryginału", jak to głosi karta tytułowa, aby nam dał przynajmniej złudzenie pięknego stylu, jakim słynna laureatka Nobla niechybnie musi władać. Przypuśćmy nawet, że styl jej jest tak twardy, niechlujny i pobieżny, jak to możemy sobie wyobrazić przeczytawszy książkę... Czyż to nie piękne zadanie dla pisarza, dla poety, ubrać prześliczne legendy Wermlandji w polszczyznę piękniejszą niż jej szwedzki oryginał?

Niestety, tak się nie stało. Z przekładu musimy sobie z trudem wyobrażać, czem jest samo dzieło. A jeżeli temat książki sam przez się jest wyrazem pewnego stylu, to jużcić oczywiście styl musi odpowiadać tematowi. U nas to zresztą wszystko jedno, łapu, capu, byle jak, byle Numa wyszła za Pompiljusza, paskudzi się arcydzieła, — a styl utworu to rzecz drugorzędna. I nikt nawet tej sprawy nie podniesie, przeciwnie jeszcze za „pracę" pochwalą — kultury stylu brak nam jeszcze zupełnie.

ii.

Romantyczna książka

Bibljoteka Dzieł Wyborowych. Redaktor **Stanisław Lam.** Tom VII. **A. t'Serstevens.** Romantyczny włóczęga. Przełożyła **Zuzanna Rabska.** Ilustrował **Kamil Mackiewicz.** Warszawa, (1924); str. 157 i 3nl.

Przez cztery soboty z rzędu chodziłam na pewien „żurek", bo powiedziano mi, że był tam kiedyś t'Serstevens. Nie zabłąkał się więcej.

— Jaka szkoda, z pewnością podobałby się pani!

To nigdy pewne nie jest, tem bardziej, gdy chodzi o autora, którego książka nas zachwyciła. Może lepiej, że nie przyszedł więcej na ten „żurek"? Zostałam z tem dziwnie świeżem wrażeniem, które „Vagabond sentimental" wzbudził we mnie, gdy mi treść jego ktoś opowiadał, i zachwyt nie opuścił mnie ani na chwilę, gdy książkę czytałam.

Dostałam przekład i raz jeszcze zapragnęłam poznać autora, chciałam pisać z prośbą o widzenie. Ale przypomniałam sobie słowa Zofji Nałkowskiej: „Odpowiedzialność bierzemy tylko za ostatnią swą pracę". Czasem, przez chwile jakimś rykoszetem uczucia, stać się nam może bliska — dawna, ale zazwyczaj tak się daleko odchodzi, że nawet własna... „pieśń nad pieśniami" wydać się może frazesem.

Nie wiem, jak jest, ale tak zawsze być może, a nie zniosłabym, żeby t'Serstevens blademi, obojętnemi oczami patrzył na swego „Romantycznego włóczęgę". Jest mi on drogi, jak coś przeżytego, przemyślanego, — a może tylko przeczutego? I tak samo zapewne dla każdego twórcy, w którym odbywa się odwieczna walka życia ze sztuką.

Żyć — tak pięknie, dobrze, wesoło! Iść ciągle naprzód, jakiejś niespodziance na spotkanie, „ku kwitnącym drogom, nieznanym miastom i śmiejącym się dziewczynom".

Co za radość wywoływać żywe istoty, z przeszłości dawno przebrzmiałej, łamać granice bytu, myśl swą przepieczętować słowem, ciąg swój dalszy widzieć w swem dziele!

Jakże przelotna jest rozkosz tworzenia, jakże kłamliwy triumf wywołania refleksów życia, jak względna przyjemność układania gładkich zdań!....

Lepiej wyobrazić sobie wielką miłość, niż ją poznać. Marzenie więcej warte, niż rzeczywistość. Stworzeni do pragnień i radości, ukojenia nigdzie nie znajdziemy.

Tak sądził Baccio Cardi, posłuszny przeznaczeniu wędrowiec po rozstajach szczęścia, kochanek miłości, nie kobiety. Ma w sobie coś z uczonego i coś z lunatyka, z niespokojnego romantyka i gryzącego bibułę móla. Pożąda każdej kobiety, a tęskni do cichej przyjaźni książek, chce pić boskie carmignano i truć się atramentem. Co ma wybrać? Jedno i drugie? Jedno po drugiem? Raz jedno, raz drugie?

Życie swe przetwarza w fantazję. Układa je we wciąż odmienne wersje, widzianym przedmiotom nadaje ich utajoną istotę, niezaspokojonem pragnieniem upiększa każdą dziewczynę. (Przez co naturalnie rozdrabia swe cierpienie).

Do boku tego nowego Don Kichota przydany jest Sancho Pancho, człowiek, który żyje tak, jak tamten żyćby pragnął. Postać to nieomal France'owska. Tegoby mi t'Serstevens za złe nie wziął: w polemice o „plagjaty" France'a wyraził się, że pożyczanie typów lub tematów jest niczem — chodzi o to, by z typu czy tematu umie coś zrobić.

Salvator Palumbo — to uosobienie zdrowej mądrości, która płynie nie z książek, lecz z obserwacji życia i ludzi. Obaj wciąż spragnieni są miłości, lecz innemi drogami do niej dążą i inaczej się w niej wypowiadają. Przez śmiech, nie przez łzy zdobywa się kobietę, — przez zaspokojenie własnych zmysłów, nie bladą tęsknotą słodkich pieszczot i dręczących, niezaspokojonych namiętności.

Gdy Salvator na igraszkach spędza noc z pierwszą lepszą dziewczyną z oberży, Baccio przeżywa miłość z... chimerą. Intensywnie, w całej skali, z bogactwem odcieni.

Zaborczość miłości, która chce wszystko sobie poddać i dla której świat cały był stworzony; ciekawość miłości — do rzeczy, ludzi, samych siebie; naiwny powrót do dzieciństwa, obok zazdrości o wielką miłość nieśmiertelnych kochanków. I ten straszny moment świadomości, że się już nic nowego nie da, moment, w którym rodzi się pragnienie śmierci. A potem tęsknota do samych siebie — dawnych, bo już żadna pieszczota nie może dorównać pierwszym uściskom. Bunt dusz, gdy zadowolić się muszą tem co jest, zamiast radości wspólnej — rozkosz wspólnego bólu i dalej, aż po kres rozpaczy i tępego przerażenia zawodu.

Ten romans z Eryganą, ostatnią z Foscarich, romans utkany ze złudzeń, zaspokaja pragnienie miłości i wrażeń. Teraz Baccio może zabrać się do pisania „Skorowidza starego patrycjatu włoskiego", za który zgóry wziął pieniądze (w złocie!) i dawno już je wydał.

„Żeby napisać książkę, potrzeba nato zrobić całą masę rzeczy, których tamci nie robią". I jeszcze. Czasem jedna godzina młodości, marzeń czy myśli, zapłodnić potrafi całe dzieło.

Baccio pisze litery, słowa, zdania, rozdział po rozdziale, a jakby „na tarasie czarnego ogrodu". Opowiadał kochance o namiętnościach politycznych i krwawych miłościach starego rodu. Dzięki Erygonie zmartwychwstają piękne domy, rycerze prawego i nieprawego łoża.

Z tej cudownej książki wyciągnąć można cudowny sens moralny: tylko uczucia — w rzeczywistości czy imaginacji — silnie przeżyte tworzą dzieła — żywe.

Aurelja Wyleżyńska.

Sto lat sceny polskiej

Wincenty Rapacki. 110 lat scen polskiej w Warszawie. 110 ilustracyj. Okładkę rysował **A. S.Procajłowicz.** Warszawa, „Bibljoteka Polska", 1925; str. 4nl. i 208 i 2nl.

Ostatni raz przemówił do nas mistrz Rapacki w swojej książce, wydanej niedawno, w rok prawie po śmierci autora. Żywa wciąż pamięć wielkiego artysty, jego niezapomniane role, zawsze jeszcze nam bliska pyszna sylwetka tej wcielonej tradycji dawnego teatru polskiego — wywołują wobec ostatniego dzieła jego życia uczucie pietyzmu i wzruszenia. Jakby się słyszało z za grobu głos znany bliskiego człowieka. A jednak po przeczytaniu nasuwa się refleksja, połączona z żalem — mógł i powinien był napisać więcej i — inaczej.

Rozumiemy pobudki zmarłego mistrza: pisał zapewne swą książkę od lat wielu (ukończył ją w 1919 r.), a w owym czasie nasza literatura teatralogiczna była bardzo uboga (ostatnio wszczął się pewien ruch w tej dziedzinie), ogół prawie nic o historji teatru polskiego nie wiedział. Rapacki chciał w miarę możności zaradzić złemu. Stąd to dążenie do objęcia całokształtu, owe „sto lat". Część historyczna jednak nie przynosi nic nowego. Można się domyśleć, że autor zużytkował prace Wojciecha Bogusławskiego, Estreichera, Chomętowskiego, Skibińskiego (aktora) i in., ale się poza nich, t. j. poza kronikarskie zestawienie sztuki i aktorów oraz dość monotonne i ogólnikowe określenie ich gry, nie posunął. Pozostawmy tę epokę zawodowym teatrologom, miejmy nadzieję, że oni dopiero potrafią istotny całokształt z tego surowego materjału wydobyć. Szkoda też wielka, że stary mistrz nie odrzucił znanego a nieprzetrawionego balastu i nie zaczął odrazu od czasów, które sam zna i pamięta, które sam mógł chwytać na gorąco. Od opisu tych to czasów (mniej więcej lat 50-ych) nabiera książka rumieńców życia. I tu dopiero mamy leciutki żal do Rapackiego: tę część trzeba było znacznie, ale to znacznie rozszerzyć. Ileżby to miał nam do opowiedzenia człowiek, który przeżył tak wielki szmat życia, który tyle widział. Wolelibyśmy też, aby ten dział miał mniej charakteru aspirującego do opracowania naukowego, a więcej do pamiętnika. Takie pamiętniki Wincentego Rapackiego mogłyby bez wątpienia pretendować do najciekawszych dokumentów czasu. Mistrza urzekło jednak owo pojęcie „całokształtu", stara się pisać możliwie „wszystko o wszystkich". Mybyśmy woleli wszystko o niektórych. Jak najwięcej anegdot, jak najwięcej plotek, opisów, życiorysów, intryg, kłótni, sukcesów, strojów, tualet, dekoracyj, zachowania się publiczności. Czyż bowiem nie więcej dla zrozumienia ówczesnego teatru daje nam fakt, że jedna z mniej wybitnych aktorek występowała w ciągu paru lat w tej samej czarnej jedwabnej sukni, niż wszelkie superlatywy o Modrzejewskiej. Czyż dla historji kostjumu nie ma pierwszorzędnej wagi zdanie: „Żadna dotąd (do Modrzejewskiej) artystka nie pomyślała o tem, jak scharakteryzować można daną postać niewieścią jej kostjumem". Te drobne szczegóły mają wartość nieocenioną.

Do zmiany kryterjów oceny jakże znamienne jest to często powracające u Rapackiego zdanie, zwłaszcza w zastosowaniu do Modrzejewskiej: „zawsze potrafiła być wielką damą", nawet w perkalikowej sukience. Komuby dziś przyszło do głowy żądać od aktorki, żeby zawsze była wielką damą, zwłaszcza w perkalikowej sukience? I gdzież się wogóle podziały owe „wielkie damy"? Zniknęły tak jak i wielcy bohaterowie romantyczni oraz ich interpretatorzy. Między repertuarem, operującym zazwyczaj jednostką wyjątkową, i aktorem wyjątkowym zachodzi ścisła łączność. Próżno dziś wzdychać za Żółkowskim, Królikowskim, Rapackim Żyjemy w czasach przytłoczenia indywidualizmu, w czasach twórczości zbiorowej. Stąd nie mamy może wielkich jednostek aktorskich, mamy zato zespół. Ta dążność współczesna do tworzenia zespołu leży równie w duchu czasu, jak powstawanie jednostek wybitnych w teatrze romantycznym i poromantycznym. Ów „okres świetności teatru", był raczej czasem popisu poszczególnych aktorów. Okres świetności teatru może dopiero nastąpić.

A na zakończenie: nigdy się tak nie odczuwa potrzeby obecności krytyka zawodowego, jak gdy artysta pisze o sobie podobnych. Zdawałoby się, że aktor tej miary, co Rapacki, potrafi nam opowiedzieć o samym kunszcie aktorskim, o sposobach ujęcia roli, odegrania jej, o tej robocie „na brudno" aktora, o warsztacie jego twórczości. A jednak nie— słyszymy tylko o wynikach, i to ogólnikowo, jakby stary mistrz miał zwyczaj siadywania w pierwszych rzędach krzeseł, a nigdy nie był na scenie. Nawet wtedy, gdy mówi o sobie.

I tu znów znajduje potwierdzenie fakt, że krytyk teatralny więcej potrafi powiedzieć o aktorze, muzykolog o muzyce, a krytyk literacki o poecie, niż najbardziej powołany aktor, muzyk, poeta — o sobie. Introspekcja jest rzeczą trudną.

Niezmiernie wartościowe są ilustracje tej książki.

Irena Krzywicka.

Miesięczniki

„Naokoło Świata".

Nr. 7 „Naokoło Świata" nie zawodzi oczekiwań pokładanych w tem piśmie: jest ono coraz żywsze i coraz bardziej zajmujące. Osią numeru jest oczywiście artykuł R. de Salberga „Grafologja", analizujący związek charakteru pisma człowieka z jego właściwościami duchowemi, ilustrowany przeszło czterdziestoma facsimilami. Na drugiem miejscu należałoby postawić szkice „Z dziejów pocztówki" Z. R. i „Skąd się wziął parasol"? Bes. Nowelę egzotyczną reprezentują M. B. Lepecki („Zemsta Tupana") i Marjusz Zaruski („Ho-uen"), nowelę sensacyjną — Mieczysław Jarosławski („Tajemniczy grobowiec"). Numer zawiera ponadto szereg artykułów etnograficznych i przyrodniczych.

*

Nr. 8 jest najlepszy z dotychczas wydanych i przedstawia się prawdziwie imponująco. Idąc po drodze zaznajamiania czytelników z najnowszemi zdobyczami nauki europejskiej drogą artykułów z pierwszej ręki, wydawnictwo daje doskonały szkic Kamila Flammariona „Najnowsze zdobycze w dziedzinie astronomji", oraz szereg artykulików popularyzatorskich, jak o podróży Zeppelina do Ameryki, o czołgu, o mikroskopie czasu, o świeżo zbudowanym olbrzymim turbogeneratorze i t. d. i t. d. Najzupełniej zato niewyzyskany jest temat współczesnej kinematografji, opracowany pobieżnie i nieciekawie. Z innych rzeczy wymienić trzeba obficie ilustrowane uwagi St. Lama „Laureat Nobla Wł. St. Reymont i kilka jego zwierzeń", świetne opowiadanie Juljusza Kaden - Bandrowskiego „Skarbonka", „Balzac w anegdocie" Boya - Żeleńskiego oraz śliczne zdjęcia fotograficzne Zyberk - Platera z cyklu „Z całej Polski". — Nr. 8 podaje wiadomość o ustąpieniu dr. Stanisława Lama ze stanowiska redaktora „Naokoło Świata".

*

Najważniejszą pozycją w nr. 9 „Naokoło Świata" jest wywiad z prof. Szyszko-Bohuszem w sprawie odbudowy Wawelu. Ta sprawa, w którą prawdę mówiąc jest zaangażowany honor całego narodu, a przynajmniej jego sfer posiadających, przedstawia się w chwili obecnej dość niewesoło, mizerne posiada perspektywy na przyszłość, ofiarność bowiem publiczna jest słaba, a zapomogi rządowe — bardzo niewystarczające. Mimo to, dzięki energji kilku ofiarnych jednostek, dokonane, jak na szczupłe środki, sporo. Tak więc prof. Szyszko-Bohusz spodziewa się ukończenia zachodniej części zamku już za dwa lata, co do całości — zależne to jest także od tego, jakie będzie przeznaczenie Wawelu (nawiasem mówiąc, dzięki pięknej decyzji Stanisława Wojciechowskiego zamek za rezydencję dla prezydentów służyć nie będzie, co umożliwia przeznaczenie poważnej części gmachu na muzeum). Następnie mówi prof. Szyszko-Bohusz o robotach odkrywczych na Wawelu, przypomina historję wspaniałych arrasów zygmuntowskich, wreszcie porusza ciekawy projekt wyposażenia wnętrza zamku sumpten kilku rodzin magnackich; z pewnemi konkretnemi propozycjami wystąpił tu ród Potockich, — a należałoby się spodziewać, że i inne, rozporządzające miljonowemi fortunami, przyłączą się do tej akcji... — Materjał nowelistyczny ostatniego numeru „Naokoło Świata" prezentuje się nieszczególnie: nieprzyjemny zwłaszcza zawód sprawia humoreska F. Goetla „Dziecko, które zabili..." Od tego doskonałego pisarza można było doprawdy oczekiwać czegoś o wiele dowcipniejszego i ciekawszego.

№ 9 miesięcznika ilustrowanego

„NAOKOŁO ŚWIATA"

zawiera:

Wawel (wraz z dwoma kartonami arrasów jagiellońskich). — **Juljan Ejsmond:** Zimowe rozkosze łowiectwa. — **Szeik Nazyf al Jazydzi:** Mówca (tłum. We...cz, ilustrował K. Sopoćko). — O nadzwyczajnych efektach kinematograficznych. — Walka ze starością. — **Ferdynand Goetel:** Dziecko, które zabili (ilustr. B. Nowakowski). — **Jerzy Sosnkowski:** O nowoczesnej architekturze. — **Stanisław Czosnowski:** Z kraju gdzie pieprz rośnie. — **J. Moszyński:** Historja amerykańska. — **J. Mucharski** i **J. Żórawski:** Pielgrzymka na Wschód (ilustr. J .Mucharski i M. Walentynowicz). — Inż. **St. Burzyński:** Radio i... życie. — **Jerzy Sosnkowski:** Matador (ilustr. autora). — Z teki humoru. — Rozrywki umysłowe.

Cena zeszytu zł. **2.50**

NOWOŚĆ! NOWOŚĆ!

MIECZYSŁAW GURANOWSKI

OFIARA KRWI

NOWELE

OKŁADKA EDMUNDA BARTŁOMIEJCZYKA

NAKŁAD F. HOESICKA CENA ZŁ. 5.—

W nr. 6 „Wiadomości"

„LISTY DO PRZYJACIÓŁ"

Antoniego Słonimskiego

Wszystkie książki zrecenzowane, omówione i wymienione w „Wiadomościach Literackich", czy to w dziale sprawozdawczym czy w bibljograficznym,

MOŻNA NABYĆ W KSIĘGARNI

F. HOESICKA,

Senatorska 22, tel. 10-68

„MACIUŚ"

OSKARŻAM!!!

reżyserji **Abla Gance'a**

... wkrótce na ekranie

Kurjer kinowy

Rococo: Koenigsmark", część druga. — **Apollo:** „Triumf". — **Splendid:** „Królewski kochanek".

Pierwsza część filmu francuskiego „Koenigsmark" była produktem dość podrzędnym, druga jest o wiele lepsza. Wprawdzie, jak zwykle w przeróbkach powieściowych, i tu jest nadmiar rozmówek, sensacja i intryga kryminalna zajmują pierwsze miejsce, lecz absorbują raczej intelekt niż oko, gdyż musi się śledzić zawikłania intrygi. Ale jeżeliby za kryterjum kinowości przyjąć, że do kina nadaje się wszystko, co w teatrze albo wcale „nie wychodzi" albo niedokładnie, lub to wszystko, co w opowiadaniu wymaga trudnych i szczegółowych opisów i wyjaśnień, to możnaby pochwalić jako bardzo kinowy następujący motyw intrygi. Zbrodniarz pisze rozkaz zbrodniczy przypadkowo na stronicy książki, pod którą jego synek podłożył kalkę niebieską, aby przekopjować obrazek, na tej stronicy umieszczony. Wskutek tego na kopji pod kalką odbił się i ów dziecięcy rysunek i ów rozkaz: kombinacja zdradliwa, dziwna i fatalna, którą można krótko pokazać tylko w kinie, nie w teatrze ani w powieści (chyba jako ilustrację). Prawdopodobnie ten motyw zachęcił kiniarzy do sfilmowania powieści Benoita. W wielu filmach kryminalnych mamy takie kurjoza wizualne, ale są one tak krótkotrwałe, że nie mogą stanowić wątku do jakiegoś przebiegu wizualnego.

Głównym atutem kinowym jest w tej drugiej części eksplozja, pożar na zamku księżny i akcja ratunkowa przy pożarze. Jest to ulubione zadanie dla filmiarzy, tak samo jak powódź, taniec, gonitwy, bitwy. Najlepiej wypadła akcja ratunkowa: na tle nocy ukośne drabiny strażackie, wodotryski z wężów błyszczące w świetle pożaru, wszystko to razem stanowi niesamowitą siatkę splątanych linij, coś futurystycznego. Rzeczywistość na jawie sama przechodzi w ornament. — Ale jest do wymienienia jeszcze jedna scena, zarówno tragiczna jak i prawdziwie kinowa: ta, w której pomocnik księcia, nagle zamknięty, usiłuje sięgnąć ręką po spalający się lont i daremnie wysuwa dłoń popod drzwiami — lont już się oddalił.

*

Film Cecila Mille'a „Triumf" sprawił nie tylko mnie trochę rozczarowania. W jego „Dziesięciu przykazaniach" więcej nas obchodziły najwyższe szczyty kinowości, jak przejście przez morze Czerwone i nadanie dziesięciu przykazań, niż pospolita fabuła rodzinna drugiej części, opracowana w filmie aż zanadto bezpretensjonalnie. Ale zdaje się, że to jest jego metoda. Nie pogardza trucami, gdzie mu potrzeba: np. gdy trzaskające kolo fabryczne zmienia się w wieniec dłoni, bijących oklaski, o których marzy uboga robotnica, chcąca zostać śpiewaczką; albo gdy wyrzucony z samochodu Silver mdleje i w chwili omdlenia widzi wszędzie białe płatki. Ale to są przecież sztuczki, które mogą podobać się laikom, lecz chyba niegodne są filmiarzy w wielkim stylu.

Choć Mille widocznie takich truców nie szuka nagwałt i w tem może różni się od reżyserów niemieckich, którzy mają wielkie ambicje artystyczne, chcą robić rzeczy niesłychane, często jednak przekraczają w tem granice dobrego smaku.

Zadawałem sobie pytanie, czy gdyby ów film wyświetlano bezimiennie, poznałby ktokolwiek w Warszawie, że się ma do czynienia z dziełem sławnego Mille'a. Po czem tu poznać „lwi pazur"? Może jacyś fachowcy poznaliby po jakichś zewnętrznych znamionach. Jabym, przyznam się, nie zgadł. Ale gdy wiem, że to on, szukam już skwapliwie śladu tych pazurów, szukam ich także w szczegółach technicznych mniej narzucających się. A więc: zdjęcia są bardzo porządne i wyraźne, obrazy uszeregowane logicznie; jeden zazębia się łatwo o drugi, tak że ten film istotnie nie tylko ilustruje, lecz także o p o w i a d a; napisy i rozmówki łączą się ściśle z obrazami, bez przewagi nad niemi; jest pewna werwa w tem opowiadaniu. Zauważyłem też, że w aranżowaniu scen aktorskich panuje zasada jednolitości, proporcje figur między sobą i ich wymiary są prawie zawsze te same, nie zaś raz małe, to znów bardzo duże, — lub też wielkość ich waha się w niedużych granicach. Czasami bardzo dobry szczegół aktorski, zresztą gra poprawna. Sceny nie są szarpane, wyczerpują zawsze swoją treść dostatecznie, nie nudząc, lecz nie pozostawiający też luk drażniących. Wszystko razem — robota jasna, solidna, nie nerwowa. Może moi koledzy, recenzenci kinowi, wskażą tu jakieś tajemnice rytmu; ja nie umiem nic o tem powiedzieć i uważam takie kryterja za fantastykę.

Ale scenarjusz! No owszem, scenarjusz jest wart wzmianki, lecz nie Mille go robił. Chyba, że sobie taki scenarjusz zamówił, lub taki właśnie przyjął, który odpowiadał jego przekonaniom. W scenarjuszu jest przeprowadzona pewna tendencja, która może bardzo umoralniać— Amerykanów. Jest psztyczek anarchistom, ale jest też apoteoza braterstwa robotników między sobą, i uznanie wielkiej godności pracy. Syn miljonera, utracjusz, wstępuje do swojej dawnej fabryki jako prosty robotnik i solidną pracą wdrapuje się na coraz wyższe szczeble, w dwa lata zostaje dyrektorem. Dwa lata! Szczęśliwa Ameryka! Na ten film niechaj chodzą robotnicy, ale i fabrykanci. Zresztą my, Europejczycy, już tę ideę dawno przerabialiśmy w teatrze, że przypomnę „Bogatego wujaszka" Karlweisa, lub „Delikatne ręce" Labiche'a. Kino oczywiście lepiej popularyzuje, szerzej działa niż teatr, więc niech żyją amerykańscy zapaleńcy tendencyj. Zanadto jednak tem rozczulać się nie trzeba.

*

I znowu wytwórnia Paramount, ale tym razem nam nie zaimponowała. W „Królewskim kochanku" ileż scen pustych i zmarnowanych. Jest zrobiona burza z błyskawicami i pościg podczas burzy, ale to tylko sama autentyczność, w niej sceny zamazane, niewiadomo, kto kogo i którędy ściga, — burza nie stała się tu zadaniem artystycznem dla filmiarza. Mogą być sceny zamazane, ale wtedy powinno się wiedzieć co i dlaczego jest zamazane. Bohater nieładny i kołkowaty, król Henryk VIII (z małemi oczkami) nie dorasta do kreacji Janningsa w „Annie Boleyn". Zato ładna i miła jest księżniczka Mary, grana przez p. Davies. Ma werwę i humor w formie jeszcze świeżej, nie skabotynizowanej. Czasem gdy z uśmiechu nagle przechodzi w zamyślenie, nasuwa się uwaga: Liljana Gish zrobiła szkołę. Ale ma i swoje gesty oryginalne. Np. gdy srogi król Henryk chwyta tę swoją siostrzyczkę za rękę, a ona w ostatniej pasji i rozżaleniu grzmoci go prawym kułakiem w piersi. Tego jeszcze nie bywało i to warto zobaczyć. Szkoda, że tego kułaka czy kułaczka nie pokazano osobno. — Duży temperament i swoboda w scenach miłosnych. Ale uczciwego całusa i tu nie widziałem — wszystkie one są teraz podobne do owych całusów malowanych na pocztówkach w pozie najbardziej szablonowej. — Scenarjusz jest niewymyślny, ale pogodny.

Na końcu dają komedyjkę trucową: polewaczka sama chodzi po schodach, malarz maluje sobie balon Zeppelina i wyjeżdża z nim zaraz w podróż nad Alpami i między gwiazdy i t. p. Dawno już u nas tego gatunku nie pokazywano, chociaż to jest właśnie kino przyszłości, kino bez aktorów. Komedyjka, o której mowa, nie jest wykonana zgrabnie, ale sam gatunek obiecuje wiele. Niech kino „Splendid" pokazuje nam także inne filmy tego rodzaju, choćby „na przyprzążkę", a będziemy mu wdzięczni.

Karol Irzykowski.

*

„Królewski kochanek" inaugurował nowo zbudowany w Galerji Luxenburga kinoteatr „Splendid", wzniesiony z iście niewarszawskim rozmachem i nakładem. Olbrzymia widownia, mieszcząca wraz z amfiteatrem i balkonem 2000 osób, pod względem dekoracyjnym rozwiązana jest w mitologicznym stylu egipskim. Zdobią ją fantastyczne rzeźby i malowidła, konstrukcyjnie zaś jest ostatnim wyrazem sztuki żelazobetonowej. — Dyrekcja teatru spoczywa w rękach świetnego znawcy kinowego p. Jerzego Starczewskiego, co jest dostateczną gwarancją dobrego repertuaru.

PRZEWODNIK BIBLJOGRAFICZNY

Miesięcznik dla wydawców, księgarzy, antykwarjuszy, jako też czytających i kupujących książki

Założony w roku 1878

Wydawany przez Bibljotekę Zakładu Narodowego im. OSSOLIŃSKICH we Lwowie

Komitet redakcyjny stanowią: Władysław T. Wisłocki, Mieczysław Gębarowicz i Kazimierz Tyszkowski

Prenumerata wynosi: rocznie zł. 36.—, półrocznie zł. 18.—, kwartalnie zł. 9.—, pojedyńczy zeszyt zł. 3.—

Adres redakcji: Lwów, Ossolińskich 2, tel. 85. Konto w P. K. O. 141.599

Administracja: Kalecza 5, tel. 12-22

Filja administracji w Warszawie: Księgarnia Zakładu Narodowego im. OSSOLIŃSKICH, Nowy-Świat 69, tel. 198-81 Konto w P. K. O. 66.58

„ŻYCIE TEATRU"

przystępuje w roku bieżącym do wydawnictwa P. N.

BIBLJOTEKA DRAMATYCZNA,

która obejmować będzie współczesne utwory sceniczne

Prenumeratorzy, którzy wpłacą zgóry prenumeratę roczną „Życia Teatru" (12 złotych), otrzymają cztery tomy „Bibljoteki" rocznie BEZPŁATNIE.

Prenumeratę wpłacać należy na konto czekowe P. K. O. 7799

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:

Warszawa, Emilji Plater 33 m. 5, tel. 309-09 i 112-11

Muzyka

Prokofjew. — Ysaye.

Wśród plejady najnowszych kompozytorów jedną z gwiazd uznanych a nadewszystko popularnych jest Sergjusz Prokofjew. Młody ten kompozytor ma już za sobą pokaźny dorobek, złożony

SERGJUSZ PROKOFJEW
portret B. J. Czedekowskiego

z pięciu sonat i trzech koncertów fortepianowych, koncertu skrzypcowego, który popularyzuje świetny skrzypek Szigeti, baletu „Szut" oraz opery „Miłość do trzech pomarańczy", wystawionej w Chicago i Nowym Yorku, a którą za miesiąc ma grać teatr w Kolonji.

Głównie jednak popularność swą zawdzięcza Prokofjew drobnym utworom, łatwym, dostępnym, — jak gawoty, preludja, marsze, wreszcie pokaźny cykl „Visions fugitives". Utwory te grywane już są obecnie przez t. zw. szeroką publiczność, a osławiony marsz wkrótce zapewne przedostanie się do music-hallów. Wartość tych drobnych utworów, które wzbudzają histeryczne piski rozentuzjazmowanych studentek, jest conajmniej problematyczna. Znaczeniem swem przypominają one minjaturv Griega, któremi się jeszcze tu i owdzie zachwycają starsze panie, a swą quasi-modernistycznością — Rachmaninowa, pozbawionego oczywiście romantycznego soku i podanego na sucho.

Z większych rzeczy Prokofjewa poznaliśmy dwie sonaty (II i IV) oraz trzeci koncert. Sonaty te, mogące raczej nosić nazwę sonatin ze względu na swe mało rozwinięte formy, świadczą o dużym wysiłku artystycznym człowieka, który chce zdobyć swój własny styl. Obie sonaty należą do wczesnej epoki twórczości Prokofjewa, ale są ogromnie charakterystyczne. Styl Prokofjewa polega na pozornej prostocie, olbrzymiem opanowaniu formy, która jest poprostu kryształowo-przejrzysta, na operowaniu bardzo prostemi punkcjami harmonicznemi, co nawet trochę nuży, mimo że „straszą" nas cudaczne alteracje. Ulubiony e-dur, etiudowe figuracje, oparte o ćwiczenia Czerny'ego, i skłonność do parzystych mocno akcentowanych rytmów sprawiają wrażenie pewnej monotonji.

Bezwzględnie najwyżej ze wszystkich utworów granych przez Prokofjewa w Warszawie należy postawić trzeci koncert. Trochę mu trudno poradzić sobie z dużą formą, przez co ucieka się do udatnych i pięknych warjacyj, lub do mniej udatnego rozdrobnienia III części, która zaczyna się i kończy wprost znakomicie. Przytem poznaliśmy orkiestrę Prokofjewa: operuje on nią śmiało, ale nie dziwacznie.

*

Lew skrzypiec. Olbrzym dobrotliwy, Ysaye, przypomniał starym melomanom, czem był dawniej, młodym rzucił rozczulające wspomnienia, opowiedział, jak ongi wstrząsał, poetyzował, improwizował. Wielki poeta pozostaje zawsze wielki, nawet w starości, i jeżeli drżące słowo nie może już poruszyć serc słuchaczy — do głębi je przejmuje wielki gest.

To też koncert ten pozostawił wspomnienie czegoś większego, innego, niż zwyczajny popis muzyczny; było to raczej jakieś wspaniałe a tragiczne widowisko: artysty żegnającego swą olbrzymią przeszłość i przebrzmiałą sławę.

Jarosław Iwaszkiewicz.

„AMERYKA—POLSKA"

WYSZEDŁ NUMER STYCZNIOWY

Nowelki amerykańskie: „Ślub", „Zemsta Peroby". Opowiadania: „Niemówny mówca", „Gwiazdy o miłości", „Kościuszko w Ameryce", „Od sochy do katedry". Artykuły: „Plan Dawesa", „Przemysł i ekonomika", „Pukajcie a będzie wam otworzono", „Laborologja", „Miljony amerykańskie dla miast polskich", „Polski Instytut Organizacji Pracy", „Za kulisami ekranu" i szereg innych.

ŻĄDAJCIE WSZĘDZIE

Cena zeszytu zł. 2.50

Wileńska „Gioconda"

W i l n o, w styczniu 1925.

Dokonana przed paru tygodniami, wśród osobliwych okoliczności, kradzież autoportretu Aleksandra Orłowskiego z wileńskich zbiorów wydziału sztuk pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego poruszyła żywo całe kulturalne Wilno. Skradziony obraz należy do najwybitniejszych dzieł malarstwa polskiego z początków XIX w. Zachodzi możliwość, że zostanie zaofiarowany osobom prywatnym lub wypłynie w handlu antykwarskim, wobec czego reprodukujemy tu fotografję zguby.

Skradziony autoportret jest w dorobku Orłowskiego dziełem najpiękniej klasycznem. Opublikował o nim artykuł i po raz pierwszy zreprodukował prof. Jerzy Remer w nr. 2 „Alma Mater Vilnensis" (1924). Znakomita w charakterystyce i technice akwarela ($36^1/_2 \times 28^1/_2$ cm.) pochodzi z r. 1817. Ma się niemal wrażenie, że nosi na sobie ślady genjuszu rembrandtowskiego. Portret poza widocznem opanowaniem techniki malarskiej odznacza się głęboką siłą i poezją wyrazu, nie zawsze tak uduchowionego pod pędzlem świetnego następcy Norblina.

Ewentualne wywiezienie akwareli poza granice państwa zmniejszyłoby znacz-

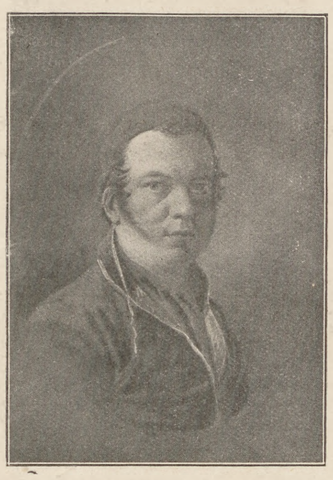

ALEKSANDER ORŁOWSKI
Autoportret
fotografja Jana Bułhaka

nie szanse zysku dla złodzieja, jasną jest bowiem rzeczą, iż dzieło Orłowskiego, przedstawiające znaczną wartość w kraju, w cudzoziemcu nie wzbudzi tak znacznego zainteresowania.

Sympatycznemu w swej działalności wydziałowi sztuk pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego życzymy, aby skradziony obraz jak najwcześniej wrócił w dostojne mury gmachu pojezuickiego.

Witold Hulewicz.

Bal Autorów Dramatycznych

Ewenementem bieżącego karnawału będzie Bal Autorów Dramatycznych dn. 1 lutego w połączonych salonach i restauracji hotelu Polonja. Cały świat artystyczny bierze w nim udział. Artyści teatrów warszawskich pod wodzą najświetniejszego z Don Juanów, arcymistrza Józefa Węgrzyna, staropolskim kuligiem w kostjumach różnych epok uświetnią zabawę. Informacyj w sprawie zaproszeń i biletów udziela administracja „Świata" Szpitalna 12, tel. 47-25, od g. 10 rano do 6 pp.

„ISKRY"

TYGODNIK DLA MŁODZIEŻY

nr. 4

St. K.: Przysięga w roku 1863 (do obrazu Grottgera). — **St. Kossuthówna:** Cmentarz małogoski. — **Marja Dynowska:** Jerzy Byron w sto lat po zgonie. — Złote iskierki. — **R. Fleszarowa:** Moja pierwsza wycieczka. — **Antoni Urbański:** Podolska twierdza nad Gniezną. — **Edward Słoński:** Wrażenia z Turcji. — Ciekawe i nieciekawe. — **Kazimierz Rosinkiewicz (Rojan):** Złoty sen Lamikai. — Niepróżnujące próżnowanie. — Nasze listy. — Rozrywki. — Gazetka.

Cena zł. 0.45

Marjan Abramowicz

W kołach intelektualnych każdego większego środowiska, obok ludzi, znanych wszystkim i zajmujących wysunięte stanowiska, znajdują się prawie zawsze jednostki ciche, ukryte w cieniu, o których roli istotnej w życiu duchowem pokolenia wie tylko garstka najbliższych. Ludzie ci nie występują na arenie publicznej, nie szukają popularności, nie czynią nic na zewnątrz — oddając się całkowicie bezinteresownemu uprawianiu swych zamiłowań wewnętrznych.

MARJAN ABRAMOWICZ

Nazwisko takiej jednostki nie przebrzmiewa jednak, jak „dźwięk pusty", i życie jej nie przechodzi bez śladu. Oryginalne pomysły i zdecydowane sądy, oparte na gruntownej znajomości rzeczy, rozpowszechniane drogą oddziaływania osobistego, przyczyniają się często bardziej do tworzenia uczciwej i bezstronnej opinji, niż głosy całego zastępu pisarzy, zajmujących wydatne miejsce w różnych panteonkach lokalnych.

Na każde zjawisko życia społecznego, literatury czy sztuki reagował ś. p. Abramowicz we właściwy sobie sposób, żywo i stanowczo. Jakkolwiek miał bardzo wyrobione przekonania i poglądy, których trzymał się z litewskim iście uporem, starał się zawsze być sprawiedliwym i nikomu nie czynić krzywdy. Uznawał włożony wysiłek nawet w dziełach chybionych, chociaż sędzią był nagół surowym i ostrym. Był mistrzem w odnajdywaniu błędów, niedokładności i przeoczeń w treści pracy, jej metodzie i formie, ze szczególnem zaś zacięciem tropił błędy językowe. Dzięki temu był nieoceniony jako korektor, i wielu autorów polskich jemu zawdzięcza poprawność językową swych prac.

Człowiek skromny do ostatnich granic, pozbawiony niemal potrzeb własnych, miał jedną kosztowną pasję: książki. Przypuszczam, że w jego umiarkowanym budżecie wydatek na książki stanowił pozycję, któraby zaimponowała bogaczom. Było niepodobieństwem posiadać jakąś książkę, wydaną w kraju, wcześniej niż Abramowicz. Jego zamiłowanie do książek nie miało w sobie jednak nic z bibljofilstwa manjaków i snobów, trawiących życie na poszukiwaniu curiosów, bardzo zaś mało z bibljofilstwa „czystego", które widzi w książce przedewszystkiem dzieło sztuki graficznej, papierniczej, introligatorskiej. Tego bibljofila interesowała w największej mierze t r e ś ć dzieła. Kupował książki poto, aby je czytać, interesując się wykonaniem zewnętrznem tylko jako dodatkiem, nie pozbawionym wagi, lecz nie najważniejszym. Natomiast czytelnikiem był wzorowym. Suma przeczytanych przez niego książek była olbrzymia. Czytał przytem zawsze bardzo krytycznie, zdobywając własne stanowisko wobec każdego poznanego dzieła. Naród, posiadający chociażby 20% takich czytelników książek, stanąłby z pewnością na czele kultury wszechświatowej.

Nie zawsze zresztą i nie tylko oddawał się Abramowicz kontemplacji nad rzeczami kutury. Urodzony w 1870 r. w Twerze, jako syn prokuratora, ukończył szkołę średnią w Moskwie i tam również odbywał studja matematyczne. W 1892 r. przyjechał do Warszawy i tutaj został aresztowany przy rozlepianiu odezw na manifestację 3-go maja. Przesiedział dwa lata w cytadeli na śledztwie, poczem został skazany na trzy lata więzienia w „Krestach" i sześć lat osiedlenia na wschodniej Syberji. Wyrok ten wypadł tak surowo, ponieważ Abramowicz, siedząc w więzieniu, odmówił złożenia przysięgi na wierność cesarzowi. W Wierchojańsku czynił obserwacje meteorologiczne z polecenia petersburskiej akademji, podczas trwania wyprawy, wysłanej na poszukiwanie bar. Tolla. Po upływie terminu osiedlenia zakazano mu pobytu w kraju, i wtedy zamieszkał pod Charkowem, skąd jednak pozwolono mu wyjechać, za wstawiennictwem akademji. Przez dwa lata był kierownikiem księgarni w Petersburgu, a w 1907 r. powrócił już na stałe do Warszawy. Po ustanowieniu władz polskich został urzędnikiem wydziału archiwów państwowych, a potem, i do ostatniej chwili, pracował w wydziale bibljotek państwowych ministerstwa oświecenia.

Był to człowiek z jednej bryły kryształu: silny i nieugięty. Był bojownikiem wolności politycznej i duchowej. Kochał twórczość i życie. Należy mu się poczesne miejsce śród tych, których nazwał kiedyś Stanisław Brzozowski „Medyceuszami polskimi", którzy wbrew potentatom i bogaczom podtrzymują naukę i sztukę. Sam nie tworząc, brał czynny, żywy udział w budowaniu gmachu kultury.

Cześć jego pamięci!

Jan Muszkowski.

STYCZEŃ 1925

nr. 37

SKAMANDRA

ukazał się i jest do nabycia we wszystkich księgarniach

zawiera

Kazimierz Wierzyński, Antoni Słonimski, Jerzy Liebert, Stanisław Baliński, Władysław Broniewski, Juljan Tuwim, I. K. Iłłakowicz: Poezje. — *Sergjusz Jesienin:* Pugaczow (poematu dramatycznego cz. VII i ostatnia), przełożył *Władysław Broniewski.* — *Jarosław Iwaszkiewicz:* Księżyc wschodzi (fragmenty powieści). — *Marja-Jehanne Wielopolska:* Samotność. — *Leonard Podhorski-Okołów:* O rymowaniu. — *Stanisław Ignacy Witkiewicz:* „Wniebowstąpienie" J. M. Rytarda

Cena egzemplarza **3 zł.** — Administracja „Wiadomości Literackich", Warszawa, Świętokrzyska 30 m. 5, konto czekowe 85.15, wysyła poszczególne egzemplarze za zaliczeniem pocztowem i przyjmuje prenumeratę na r. 1925 w stosunku 8 zł. kwartalnie wraz z przesyłką pocztową. — Prenumeratorzy „Wiadomości Literackich" otrzymują **25%** zniżki.

NOWOŚCI! NOWOŚCI!

JACK LONDON

PRZYGODA

POWIEŚĆ

W PRZEKŁADZIE

STANISŁAWY KUSZELEWSKIEJ

CENA ZŁ. 4.80

G. K. CHESTERTON

NAPOLEON Z NOTTING-HILL

POWIEŚĆ

W PRZEKŁADZIE

JANINY POPŁAWSKIEJ-ŁASZCZOWEJ

Z PRZEDMOWĄ WILAMA HORZYCY

CENA ZŁ. 4.80

MAGDALENA SAMOZWANIEC

NA USTACH GRZECHU

POWIEŚĆ

TRZECIE WYDANIE

CENA ZŁ. 2.40

NAKŁAD E. WENDE I S-KA

Z CAŁEGO ŚWIATA

Polski magazyn ilustrowany

Marja Skłodowska-Curie: Jak powstał i jak się rozwija instytut radowy w Paryżu. — *Wacław Rogowicz:* U progów Azji. Z włóczęgi po Kaukazie. — *Szczepan Jeleński:* Astrologja nawspak. — *Estewi:* Od pawany do tanga. Siedem wieków tańca. Z historji tańca towarzyskiego. — *Bruno Winawer:* Tilly II. Nowela. — *Paweł Heuzé:* Zagadka zjawisk spirytystycznych. — *J. Orynżyna:* Nowe sposoby badania zdolności zawodowych. — *Kornel Makuszyński:* Dusze na paradyzie. — *Stanisław Małkowski:* O kobietach i mężczyznach współczesnych. Chiromancja, frenologja i grafologja oraz ich stosunek do nauk tajemnych. — *Antuka:* Moda. — *Z. Kleszczyński:* Miss Kett, morderca.

Wydawnictwo Bibljoteki Dzieł Wyborowych, Warszawa, Sienkiewicza 12

Cena numeru tylko **zł. 1.80**

Kino „ROCOCO"

(Nowy Świat 63)

„Königsmark"

obie serje

razem

Tom V serji II

Bibljoteki Dzieł Wyborowych:

R. A. WILTON

Ostatnie dni Romanowych

Cena w prenumeracie

1 zł. 23 gr. (w oprawie)

Mattia Battistini

kreśli swe „Wspomnienia"

Marja Labia

rzuca wieniec pięknych kwiatów

„Na grób Pucciniego"

w ostatnim numerze miesięcznika

MUZYKA,

który ponadto zawiera artykuły: dyr. *Emila Młynarskiego*, prof. dr. *Adolfa Chybińskiego*, prof. dr. *Lucjana Kamieńskiego*, *Mateusza Glińskiego*, sprawozdania z Paryża *(André Coeuroy)*, Berlina (dr *Hugo Leichtentritt*), „Impresje muzyczne", „Trybunę artystów", kronikę, przegląd prasy oraz (w dodatku nutowym) nowy prelud fortepianowy *Ludomira Różyckiego*

Cena 1 zł.

Do nabycia w administracji (Warszawa, Kapucyńska 13, tel. 406.59), we wszystkich księgarniach i kioskach

Tydzień bibljograficzny

informacje dostarczane przez księgarnię E. Wende i S-ka

Powieść, nowela

Bibljoteka Pisarzy Żydowskich pod redakcją **Samuela Wołkowicza.** Tom II. **Szalom Asz.** Motke Ganew (Motke złodziej). Przełożył z żydowskiego **Jakób Appenszlak.** Okładkę rysował **J. Apfelbaum.** Warszawa, „Safrus", 1925; str. 4nl. i 295 i 5nl. Zł. 5.—.

Balzac. Komedja ludzka. Stara panna. Przełożył i wstępem opatrzył **Boy (Tadeusz Żeleński).** Przekładów **Boya** tom 79. Warszawa, Bibljoteka Boya, (1925); str. IX i 3nl. i 179 i 5nl. Zł. 5.—.

Gilbert K. Chesterton. Wybór pism. Z przedmową **W. Horzycy.** Tom I: Napoleon z Notting-Hill. Tłumaczyła **Janina Popławska-Łaszczowa.** (Okładki **Edmunda Bartłomiejczyka** i **Kamila Mackiewicza).** Warszawa, E. Wende i S-ka, (1925); str. XXXIII i 1nl. i 288. Zł. 4.80.

Jack London. Przygoda. Przekład z angielskiego **Stanisławy Kuszelewskiej.** Okładkę rysował **Kamil Mackiewicz.** Warszawa, E. Wende i S-ka, 1925; str. 303 i 1nl. Zł. 4.80.

Jack London. Wyga. Powieść. Gdańsk, „Sfinks", (1925); str. 4nl. i 238 i 2nl. Zł. 4.80.

Eliza Orzeszkowa. Pisma. Wydanie zbiorowe zupełne ze wstępem **Aurelego Drogoszewskiego.** Tom II—III. Nad Niemnem. Powieść w dwóch częściach. Część I—II. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1925; str. 198 i 2nl. (I) i 288 (II). Zł. 9.—

Magdalena Samozwaniec. Na ustach grzechu. Powieść z życia wyższych sfer towarzyskich. Wydanie trzecie. Warszawa, E. Wende i S-ka, (1925); str. 92.

Marja-Jehanne hr. **Wielopolska.** Femina. Opowieść melodramatyczna. Poznań, 1924; str. 81 i 3nl. Zł. 2.50.

Chrześcijańsko - Narodowe Czytanki Robotnicze. **Stefan Wodzicki.** Utopja. Nowelka. Warszawa, „Młody Robotnik", 1925; str. 21 i 3nl. Zł. 0.20.

Poezja

Juljusz Słowacki. Dzieła wszystkie, pod redakcją **Juljusza Kleinera.** Dział pierwszy. Utwory wydane za życia poety. Tom III. Anhelli — Poema Piasta Dantyszka herbu Leliwa o piekle — Trzy poemata — Kilka słów odpowiedzi na artykuł pana Z. K. — opracował **Juljusz Kleiner.** Lwów, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1924; str. 4nl. i 370 i 2nl. Zł. 16.—.

Sztuki piękne

Marja Gerson - Dąbrowska. Wielcy artyści. Ich życie i dzieła. Z 90 ilustracjami. Wydanie II. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1925; str. 237 i 3nl. Zł. 11.—

Tadeusz Szydłowski. O Józefie Strzygowskim i jego walce z humanizmem. Odbitka z „Przeglądu Współczesnego", nr. 31 i 32. Kraków, 1925; str. 54 i 2nl.

Historja, pamiętniki, polityka

Jan St. Bystroń. Historja w pieśni ludu polskiego. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1925; str. 116 i 4nl. Zł. 3.50.

Kapitan **Fr. Mac Cullagh.** Prześladowanie chrześcijaństwa przez bolszewizm rosyjski. Tłumaczyła z angielskiego **K. Iłłakowiczówna.** Kraków, Wydawnictwo Księży Jezuitów, 1924; str. 470 i 10nl. i 1 portret. Zł. 5.—.

Boje Polskie. Tom IV. **Stanisław Długosz.** Czachowski. Ilustrował **Marjan Rybkowski.** Z 4 mapkami i planami. Wydanie drugie. Poznań, Karol Rzepecki, 1924; str. 89 i 3nl. Zł. 1.60.

Boje Polskie. Tom VI. **Marjan Kukiel.** Jazda polska nad Moskwą. Bitwa pod Możajskiem 7 września 1812 r. Ze szkicami sytuacyjnemi i planem bitwy. Wydanie drugie. Poznań, Karol Rzepecki, 1925; str. 90 i 6nl. Zł. 1.60.

Boje Polskie. Tom VIII. **Jan Rogowski.** Z walk o Lwów. Rysunek okładki wykonali **Scheiner Józef** i **Steinauer Wiktor.** Poznań, Karol Rzepecki, 1925; str. 104. Zł. 1.60.

Fryderyk Skobel. Moje wspomnienia (1812—1876). Z autografu wydał i wstępem zaopatrzył **Adam Wrzosek.** Poznań, Archiwum Historji i Filozofji Medycyny, 1924; str. 2nl. i 40. Zł. 2.—.

Boje Polskie. Tom II. **Michał Sokolnicki.** Skrzynecki. Okładka i rysunki w tekście kompozycji **Zygmunta Rozwadowskiego.** Z mapką i siedmiu szkicami sytuacyjnemi. Poznań, Karol Rzepecki, 1925; str. 96. Zł. 1.60.

Bibljoteka Dzieł Wyborowych. Redaktor **Stanisław Lam.** Tom XVII. **Robert A. Wilton.** Ostatnie dni Romanowów. Przekład **Wacława Rogowicza.** Warszawa, (1925); str. 146 i 6nl. Zł. 1.90.

Prawo, nauki społeczne

Dr. **Józef Jan Bossakowski.** Ewolucja postępowania dowodowego w procesie karnym. Od pojedynku sądowego i sądów bożych do psychologicznej oceny zeznań i dowodów rzeczowych. Poznań, Fiszer i Majewski, 1924; str. 44 i 4nl. Zł. 4.—.

Miscellanea

Marceli Dąbrowski. Z za krat i bram więziennych. Dialogi z życia więźniów. Z przedmową **W. Makowskiego.** Warszawa, Zw. Zaw. Prac. Więz. Rz. P., 1924; str. VIII i 214 i 2nl. Zł. 4.—.

B. Dyakowski. O dawnych łowach i dawnej zwierzynie. Z ilustracjami **W. Nowina - Przybylskiego.** Warszawa, M. Arct, 1925; str. 208 i 4nl. Zł. 5.50.

M. Konar. Jak uświadomiłam mojego syna. Warszawa, autorka, 1925; str. 16. Zł. 0.60.

Już wychodzi!! Już wychodzi!!

Pierwsza powojenna

Encyklopedja Powszechna

Ultima Thule

w 6 tomach z licznemi rysunkami i planszami pod redakcją dr. St. Fr. Michalskiego przy współudziale wybitnych sił naukowych i literackich

Już obecnie do współpracowników „Encyklopedji" należą: F. Koneczny, prof. uniw. wileńskiego, S. Dickstein, prof. uniw. warszawskiego, A. Krzyżanowski, prof. uniw. krakowskiego, K. Stołyhwo, prof. uniw. warszawskiego, W. Kołodziejczyk, prof. Wolnej Wszechnicy Polskiej, inż. Tadeusz Wacław Jezierski i wielu innych.

„Encyklopedja" wychodzi zeszytami w szybkiem tempie. Dotychczas wyszły zeszyty I i II, zesz. III wyjdzie w tych dniach. Całość obejmie **6 tomów** (w tomie będzie około 20 zeszytów) i ukończona będzie w ciągu **trzech lat.** Cena odzielnego zeszytu **1 zł. 90 gr., w prenumeracie za 6 zeszytów 10 zł.**

Jest rzeczą oczywistą, że każdy inteligentny człowiek, urzędnik państwowy, wojskowy, kupiec, lekarz, przemysłowiec, rolnik i t. d. powinien zaprenumerować „Encyklopedję", gdyż za niewielką sumę znajdzie w niej absolutnie wszystko, czego mu potrzeba.

Dziś hasłem dnia jest: „Wiedza — to wszystko!" Encyklopedja powszechna Ultima Thule zastępuje tysiące książek we wszystkich językach, książek najnowszych i najkosztowniejszych, daje ostatnie wyniki wiedzy, ostatnie wiadomości „up to date" (do ostatniej chwili).

Przedpłatę przyjmuje wydawnictwo Ultima Thule (Barbary 1-16, tel. 163-99, konto pocztowe P. K. O. 9908) oraz wszystkie większe księgarnie

TEATR

QUI PRO QUO

dziś i codziennie

Program składany

udział

całego zespołu

ZYGMUNT POMARAŃSKI i S-KA

Księgarnia nakładowa w Zamościu

oddziały: w Krasnymstawie, Włodzimierzu i w Warszawie, Marszałkowska 52 (tel. 161-31)

poleca **NOWOŚĆ:** powieść

Arnolda Bennetta

Miłość wolna i miłość uświęcona

w przekładzie

Konstancji Mayzlówny

Cena 6 zł.

M-ME HENRIETTE

MAZOWIECKA 6, TEL. 224-00

POLECA NA KARNAWAŁ:

JEDWABNE PERUKI W KOLORACH SUKIEN

WYKONANE WEDŁUG

ORYGINALNYCH PARYSKICH MODELI

BALOWE OPASKI NA GŁOWĘ

ORAZ

ARTYSTYCZNE LALKI I DROBIAZGI

Dwa programy otwarcia kinoteatru

SPLENDID

Galerja Luxenburga **Senatorska 29**

Poranki i przedstawienia popołudniowe

(dozwolone dla młodzieży)

Ostatni Mohikanin

Według słynnej powieści **F. Coopera**

Reż. M. Tourneur

POCZĄTEK PRZEDSTAWIEŃ:

W niedziele i święta o g. 12, 3, 4 i pół.

W dni powszednie „ „ 3 i 4 i pół.

CENY MIEJSC:	Balkon	1.— zł.
	Amfiteatr	1.50 „
	Fotele parteru	2.50 „
	Kupon do loży	3.50 „

WIECZOREM:

KRÓLEWSKI KOCHANEK

Opowieść dramatyczna z tajników dworu angielskiego

wytw. „Paramount", reżyser: Robert G. Vignola, w roli głównej przepiękna **Marion Davies,**

oraz

PROGRAM SKŁADANY

(szczegóły w programach)

Początek codzień o g. 6, 8 i 10 wiecz.

CENY MIEJSC:	Balkon	1.50 zł.
	Amfiteatr	2.50 „
	Fotele parteru	3.50 „
	Kupon do loży	5.— „
Kupon na bilet ulgowy na wszystkie miejsca		2.— „

GEBETHNER i WOLFF

DZIAŁ WYDAWNICZY

POLECA

NOWOŚCI Z OSTATNICH DNI

ABANCOURT'D H. — Kraków i okolice. Przewodnik. Z 49 ilustr.		4.—
BIBLJOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.		
№ 3.	KONOPNICKA M. — Nasza szkapa Wyd. nowe	0.50
№ 7.	PRUS B. — Na wakacjach. — Katarynka. Wyd. nowe	0.30
№ 70.	KONOPNICKA M. — Wojciech Zapała. Wyd. nowe	0.25
№ 76.	KONDRATOWICZ L. — Janko Cmentarnik. Gawęda ludowa. Wyd. nowe	0.30
№ 89.	LENARTOWICZ L. — Zachwycenie. Wyd. 2	0.20
№ 92.	KONDRATOWICZ L. — Kęs chleba. Gawęda z pól nadniemeńskich. Wyd. 2	0.32
№ 121.	KUBALA L. — Bitwa pod Beresteczkiem. Wyd. 2	0.60
№ 149.	FREDRO AL. hr. — Pan Geldhab. Komedja w 3 aktach wierszem. Wyd. 3	0.40
№ 171.	SZEKSPIR W. — Hamlet. Tragedja w 5 aktach. Przekład J. Paszkowskiego. Wyd. nowe	0.90
№ 174.	SZEKSPIR W. — Król Lir. Tragedja w 5 aktech. Przekład J. Paszkowskiego. Wyd. nowe	0.90
№ 175.	SZEKSPIR W. — Otello. Tragedja w 5 aktach. Przekład J. Paszkowskiego. Wyd. 2	0.80
№ 215.	SIENKIEWICZ H. — Stary sługa. Wyd. 2	0.30
BRODOWSKI F. i BRODOWSKA T. — Kobieta w rodzinie. Szkic moralności praktycznej naszych matek		
BYSTROŃ J. ST. — Historja w pieśni ludu polskiego		3.50
CHRZĄSZCZEWSKA J. i HABERKANTÓWNA W. — Opowiadania przyrodnicze. I. „Staw". Z 23 rys. Wyd. 2		1.80
DĄBROWSKA-GERSON M. — Wielcy artyści. Ich życie i dzieła. Z 90 ilustracjami w tekście. Wyd. 2. Karton		11.—
DĘBICKI T. — Z dziennika marynarza. Na pokładzie „Lwowa" z Gdańska do Rio de Janeiro i z powrotem. Z 23 rys.		3.—
JOTEYKO T. — Podręcznik do nauki szkolnej śpiewu zbiorowego, zawierający objaśnienia teoretyczne, ćwiczenia głosu i pieśni. Zeszyt IV. Wyd. 3		0.40
KONDRATOWICZ L. — Urodzony Jan Dęboróg i szkolne czasy. W opracowaniu J. Krzyżanowskiego (Pisarze Polscy i Obcy — № 8)		2.—
NATANSON WŁ. dr. i ZAKRZEWSKI K. dr. — Nauka fizyki. Podręcznik przeznaczony do użytku uczniów klas wyższych szkół średnich. T. III		6.—
ORZESZKOWA E. — Pisma. Wydanie zbiorowe zupełne. Ze wstępem Aurelego Drogoszewskiego. T. II-III. Nad Niemnem. Wyd. 2		9.—
PRUS B. — Placówka. Powieść. Wyd. nowe		3.75
PRZYBOROWSKI W. — Bitwa pod Raszynem. Powieść historyczna dla młodzieży. Z 6 ilustr. K. Gorskiego. Wyd. nowe		4.50
ROGOSZÓWNA Z. — Piosenki dziecięce. Muzykę na tle motywów ludowych napisał St. Colonna-Walewski. Graficznie ozdobił E. Bartłomiejczyk. Nuty pisał A. Kraiński		12.—
SWIFT J. — Podróże Gulliwera. W układzie dla młodzieży. Przekład C. N. Wyd. 6. Z 7 rys. T. Pruszkowskiego. Karton		5.60
ZALESKA J. M. — Mieszkaniec puszczy. Powieść Coopera dla młodzieży. W opracowaniu. Z 5 rys. C. Jankowskiego. Wyd. nowe. Karton		7.—

PRENUMERATA z przesyłką 6.50 złp. kwartalnie, zagranicą 2 dol. — OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm. szerokości 1 szpalty 30 groszy za tekstem; 50 groszy w tekście; drobne 5 groszy za słowo. Kolumna posiada 6 szpalt.

REDAKCJA: Złota nr. 8, m. 5, tel. 132-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Świętokrzyska 30 m. 5, tel. 223-04, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz 9—13. Konto pocztowe nr. 8515

Zakłady Graficzne B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61. Tel. 46-73.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Redaktor: MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI.
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYDZEWSKI.